miesięcznik szczecińskich środowisk prawniczych

cena 0,0 PLN

ISSN 1732-8225

in gremio

nr 9 (17)
wrzesień 2005

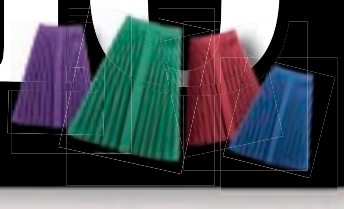

prof. dr hab. Jan Marzec
biegły z zakresu elektronicznego sprzętu gospodarstwa domowego

Jan Kwinto
biegły z zakresu skarbców i kas pancernych

dr hab. Malwina Orzelak
biegła z zakresu filatelistyki

Piotr Piasecki
biegły z zakresu rachunkowości w transporcie

prof. dr hab. Olga Mróz
biegła z zakresu seksuologii

Mateusz Frątczak
biegły z zakresu melioracji wodnej

Mariusz Kosiński
biegły z zakresu przestępczości narkotykowej

mgr Remigiusz Woźniak
biegły z zakresu higieny pracy

lek. med. Roman Waśkiewicz
biegły z zakresu identyfikacji zwłok [illegible]

dr Jadwiga Rosińska
biegła z zakresu diabetologii

dr Jacek Cieślik
biegły z zakresu komputerów klasy PC

LexisNexis
więcej niż prawo

Prawo zmienia się każdego dnia... my wiemy o tym pierwsi!

LexPolonica Online

codziennie na:
www.LexPolonica.pl

Serwis Aktualności

Artykuły komentujące najważniejsze i aktualne zmiany w prawie.

Najnowsze Dokumenty

Akty prawne + Orzecznictwo + Porady i wyjaśnienia.

Zwierzenia organizatorów

O spartakiadzie rozmawiają Radosław Bielecki i Igor Frydrykiewicz

Radosław Bielecki – Stary, oczywiście spartakiadowicz, jesteś – to może powiesz, jak to się zaczęło?

Igor Frydrykiewicz – Mimo podeszłego – oczywiście spartakiadowo – wieku, początków niestety nie znam. Dla mnie zaczęło się to w '93 r. Jako aplikant zostałem oczarowany atmosferą spartakiady w Dżonkowie. Przyjechało tam ponad 200 osób. Przywitała nas orkiestra z filharmonii - pożegnały fajerwerki przed zielonogórską palmiarnią, gdzie odbywał się bal. Całości towarzyszył hymn spartakiady. To było coś! Poczułem się wtedy częścią, tego nowego dla mnie, środowiska. Ta impreza naprawdę integrowała. W moim odczuciu była to zresztą najlepsza z dotychczasowych spartakiad.

RB – Coś chyba w tym jest, że najbardziej zapadają nam w pamięć właśnie pierwsze spartakiady, gdy jadąc na nie do końca nie wiemy, czego się spodziewać. Dla mnie taką była spartakiada w Třincu w 1999 roku, gdzie przekonałem się pierwszy raz, jak wielu prawników potrafi zarówno ze sobą rywalizować, często bardzo zaciekle, ale i świetnie się razem bawić. Od tego czasu zawsze oczekuję początku września i kolejnego wyjazdu, tyle, że tym razem nigdzie się nie wybieramy. To do nas zjedzie zapewne około 500 osób, więc powiedzmy, jak do tego doszło.

IF – Nie będziemy opowiadali, że jesteśmy typami społeczników, który marzyli aby zrobić coś dla społeczności prawniczej. Mechanizm co roku wygląda mniej więcej tak. Pierwszego dnia każdej spartakiady jej duchowy opiekun, mec. Andrzej Josse, ukradkiem wskazuje miasto, które powinno podjąć się organizacji w przyszłym roku. Następnego dnia wiedzą już o tym wszyscy uczestnicy... z wyjątkiem samych zainteresowanych. Oni ciągle trzymani są w błogiej nieświadomości. Potem do nich zaczyna coś docierać, ale pocieszają się, że to tylko plotka. Tak ma być. W ten sposób nie zdążą podjąć działań obronnych. Wreszcie podczas uroczystego balu, gdy wydaje się, że niebezpieczeństwo już minęło, a zdolności analityczne umysłów – jak to na balu – są wyraźnie stępione, jak spod ziemi wyrasta Pan Mecenas. Dobrze wie, że „ofiary" mają wtedy osłabiony instynkt samozachowawczy. Wówczas pada propozycja z gatunku tych „nie do odrzucenia". Jeśli się nie podejmiemy, to jest to ostatnia spartakiada, co z przykrością zakomunikuje rozbawionemu towarzystwu, wskazując komu będzie ten fakt zawdzięczało... Nie jest to przyjemna perspektywa.

RB – To prawda. Już w Gorzowie jednak ważyły się losy spartakiady. Wtedy pierwszy w kolejce był szczęśliwie Białystok. Koledzy stanęli na wysokości zadania.

IF – Tak. Dlatego tym razem nie można było już odmówić... Po kilku nerwowych konsultacjach sprowadzających się do pytania „pomożecie?" – szczecinianie przejęli pałeczkę w spartakiadowej sztafecie.

RB – No i zaczęło się. Nie ma dnia, abyśmy nie biegali na spotkania z władzami, organizatorami, potencjalnymi sponsorami...

IF – Czasami czuję się jak akwizytor oferujący towar komuś, kto wcale nie jest przekonany, że naprawdę go potrzebuje. Firmy żądają biznesplanów i wykazania bezpośrednich korzyści. Jest to trudne, tym bardziej, że koledzy sędziowie z Komitetu Organizacyjnego kategorycznie odmówili składania jakichkolwiek obietnic, a koledzy mecenasi nie chcieli oferować kuponów na bezpłatne porady... Dyrektor pewnej bardzo znanej firmy na moją propozycję wsparcia finansowego spartakiady w zamian za stosowną reklamę, stwierdził z przekonaniem, iż jego firma ma tak znaną markę, że reklamy już nie potrzebuje...

RB – Trzeba jednak powiedzieć, że wiele osób nam pomogło. Szczególnie podziękowania należą się Urzędowi Miasta Szczecina. Bez pomocy władz miejskich pracy i problemów byłoby zdecydowanie więcej. Zatem można wyrazić na koniec nadzieję, że i nam uda się dobrze wywiązać z roli organizatorów...

IF – Bardzo chcielibyśmy, aby nasi goście wyjechali ze Szczecina zadowoleni z jeszcze jednej udanej spartakiady. A może ktoś, kto nie jest na spartakiadzie pierwszy raz, uzna ją za najlepszą, na jakiej był? O to nam w końcu chodzi. Myślę też, że następna sportowa impreza powinna nazywać się już XVII Letnią Olimpiadą Prawników.

RB – Brzmi lepiej i lepiej się kojarzy.

RB i IF - Zapraszamy wszystkich do wspólnej rywalizacji, życząc sukcesów sportowych i po prostu świetnej zabawy. [ ]

gremionariusz

Henryk Sobociński
Prezes Sądu Okręgowego w Szczecinie

Dane osobowe:
Wiek: odpowiedni
Zamieszkały: Szczecin
Znak zodiaku: skorpion
Stan cywilny: żonaty, dwoje dzieci
Wykształcenie prawnicze: studia na UAM w Poznaniu, ukończone w 1965r.

Droga zawodowa:
Aplikant sądowy, sędzia w Sądzie Rejonowym w Szczecinie – przewodniczący IV Wydziału Karnego, Prezes Sądu Rejonowego w Szczecinie, Wizytator d/s penitencjarnych Sądu Okręgowego w Szczecinie, przewodniczący Wydziału Penitencjarnego i Nadzorca nad Wykonaniem Orzeczeń Karnych. Od 1 lipca 2005r. Prezes Sądu Okręgowego w Szczecinie.

Największe osiągnięcia zawodowe:
Dobra ocena pracy spełniająca się powierzaniem kolejnych funkcji służbowych.

Największa „wpadka" zawodowa:
Nie pamiętam wpadki zawodowej.

Pasje:
Turystyka, narciarstwo, jazda rowerem.

Ostatnio przeczytane książki:
Jamek Webb „Generał cesarza" – w związku z zainteresowaniem II wojną światową, „Z głowy" Janusza Głowackiego.

Najbliższe plany zawodowe na przyszłość:
Zwiększona sprawność postępowania we wszystkich kategoriach spraw sądowych, poprawa warunków lokalowych, doprowadzenie do podziału Sądu Rejonowego w Szczecinie na dwa odrębne Sądy Rejonowe.

Wywiad z Panem Henrykiem Sobocińskim - Prezesem Sądu Okręgowego w Szczecinie opublikujemy w listopadowym numerze miesięcznika „In Gremio" [red.]

Koniec epoki! Ustawa o zmianie ustaw o adwokaturze, radcach prawnych i notariacie wchodzi w życie.

Już nigdy nic nie będzie tak samo. Czekamy na Państwa opinie, zapraszamy do dyskusji na naszych łamach. [redakcja]

w numerze:

03 • Spartakiada: zwierzenia organizatorów

06 • Biegli (wprowadzenie)

08 • Z przekonania jestem liberałem - rozmowa z W. Łyczywkiem

10 • Biegli, jacy są, a jacy być powinni

12 • Medycy sądowi. Trochę o sobie, trochę o innych

15 • Glosa nie glosa

18 • Golf - pasja nie do okiełznania

21 • Mehr Licht!

24 • Jestem winny?

26 • Kłopotliwa pamiątka

29 • Oni naprawdę zasługują na uznanie i należne miejsce w historii II wojny światowej

30 • Mandat wolny czy związany?

31 • Sprawy o orzeczenie nieważności małżeństwa w procedurze prawa kanonicznego

32 • Nowe metody pracy - sąd wzorcowy

34 • Raz na sportowo

in gremio

Miesięcznik szczecińskich środowisk prawniczych

Wydawca: Okręgowa Rada Adwokacka w Szczecinie, ul. Narutowicza 3; 70-231 Szczecin; **Redaktor Naczelny:** Roman Ossowski.

Rada Programowa: Zygmunt Chorzępa – Prezes Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Szczecinie, Marian Falco – Dziekan Okręgowej Izby Radców Prawnych w Szczecinie, Andrzej Gozdek – Dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Szczecinie, dr Błażej Kolasiński – Prokurator Apelacyjny w Szczecinie.

Zespół współpracowników: P. Dobrołowicz, M. Kładny, M. Łyczywek, M. Weissgerber, M.; e-mail:kancelarie@op.pl, dobrolowicz@poczta.onet.pl; tel. (091) 434 01 15. ***Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów.***
Przygotowanie do druku: Agencja Wydawnicza Eko Medium, pl. Hołdu Pruskiego 8, 70-550 Szczecin.
ISSN: 1732-8225; Nakład 2000 egzemplarzy.

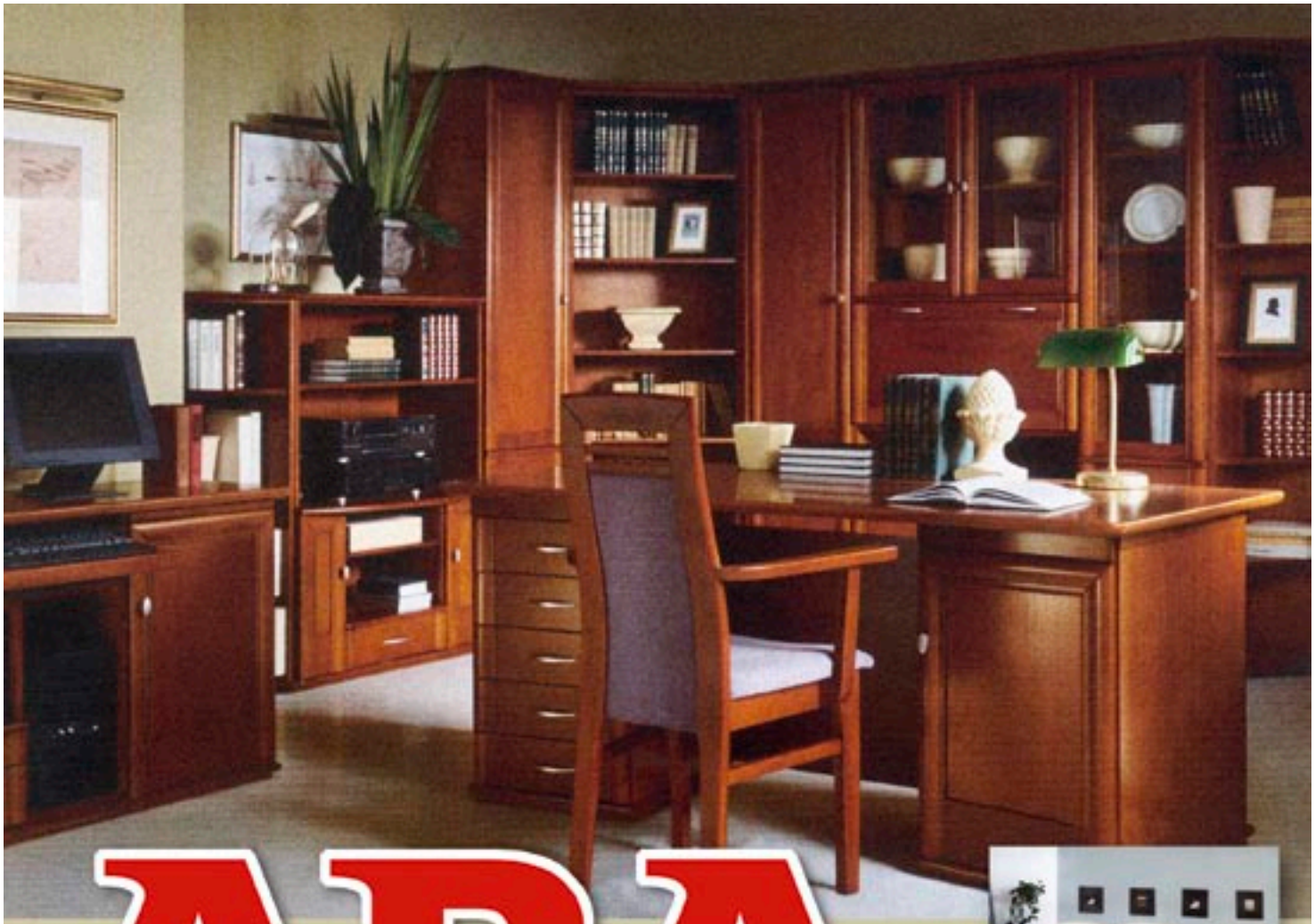

ABA Meble

Szczecin, ul. Struga 42

www.aba.meble.prv.pl

e-mail: aba.meble@wp.pl

tel./fax (91) 464 45 90, 464 38 16

największy salon meblowy na Pomorzu Zachodnim

Zapraszamy: poniedziałek-piątek **10.00-19.00**, sobota **10.00-16.00**, niedziela **10.00-14.00**

Biegli (wprowadzenie)

„Świadomy znaczenia mych słów i odpowiedzialności przed prawem przyrzekam uroczyście, że powierzone mi obowiązki biegłego sądowego wykonywać będę z całą sumiennością i bezstronnością”

Współczesny wymiar sprawiedliwości nie może funkcjonować bez wsparcia osób o specjalistycznej wiedzy z różnych dziedzin. Rola, jaką odgrywają biegli, a ściśle opinie przez nich wydawane, jest ogromna i to we wszystkich postępowaniach. Nie bez powodu mówi się, że tam, gdzie organy prowadzące postępowanie, czy to z własnej inicjatywy czy też na wniosek stron powołują biegłego, to właśnie opinia przez niego wydana przesądza treść wyroku. O ogromnym znaczeniu opinii biegłych świadczy m.in. fakt, że w roku 2004 w okręgu szczecińskiej Prokuratury Okręgowej biegli powoływani byli 7256 razy! Koszt wydanych przez nich opinii wyniósł grubo ponad 2 200 000 zł. W tym samym okresie policja zachodniopomorska „zamówiła” u biegłych opinie warte 2 300 000 zł. W przypadku prokuratury najwięcej zarobili lekarze. I tak, specjaliści z zakresu medycyny sądowej otrzymali 824 000 zł, a psychiatrzy 667 554 zł. Księgowi uzyskali przychód w kwocie 266 170 zł, a biegli z zakresu kryminalistyki 362 000 zł.. Psycholodzy zarobili „tylko” 74 000 zł. W tym samym 2004 roku sądy naszego okręgu na opinie wydały 2 279 930 zł, z czego w sprawach z zakresu ubezpieczeń społecznych aż 1 040 392 zł. Ponieważ sprawy te wszczynane są w wyniku odwołań od decyzji organów emerytalno-rentowych nie sposób nie zauważyć, że coś jest nie tak. Przecież odwołujący byli poddani specjalistycznym badaniom przez lekarzy orzeczników. Koszty weryfikacji tych opinii ponoszą sądy. Czy tak powinno być? Warto by sprawdzić, ile było wyroków zmieniających w tych sprawach, w których sąd powołał swoich biegłych. Czy nie jest przypadkiem tak, że odmowa przyznania przez ZUS, np. renty, w wielu wypadkach, zamiast ochronić budżet przed nie uzasadnionym wydatkiem, powoduje faktycznie jego zwiększenie o koszty m.in. opinii biegłych sądowych. Dla porządku przypominamy, że koszty przeprowadzenia dowodu z opinii biegłego obejmują:

1. wynagrodzenie biegłych zależne od tytułu naukowego czy stopnia skomplikowania sprawy, na które składają się należności za czynności przygotowawcze i badawcze łącznie z zapoznaniem się z aktami sprawy oraz za opracowanie opinii wraz z uzasadnieniem,
2. koszty zużytych materiałów,
3. inne wydatki niezbędne do wydania opinii.

Podane wyżej dane związane z opiniami biegłych nie obejmują wydatków na nie poniesionych przez uczestników postępowań. Bez wątpienia są one niebagatelne. Nie wiemy także, ile wydanych opinii powielało się. Jest prawdopodobne, że w jednej sprawie opinie zamawiała policja, prokuratura i sąd. Nie kwestionujemy oczywiście ani ilości zleconych opinii, ani kosztów z tym związanych, ale po zapoznaniu się z artykułem dr J. Pobochy (strona 10) oraz przytoczonymi tam danymi włos się nam na głowie zjeżył...

Obecnie w Polsce, w odróżnieniu od większości państw europejskich, nie ma odrębnej ustawowej regulacji prawnej dotyczącej biegłych. Zasadą jest, zgodnie z art. 157 ustawy z dnia 27 lipca 2001 roku, „Prawo o ustroju sądów powszechnych”, że prezes sądu okręgowego ustanawia biegłych sądowych i prowadzi ich listę.

Aktem wykonawczym, wydanym na podstawie § 2 powyższego artykułu jest Rozporządzenie Ministra Sprawiedliwości z dnia 24 stycznia 2005 r. „w sprawie biegłych sądowych”. Po jego przeczytaniu możemy z pewnością stwierdzić, że:

Biegłym może być ustanowiona osoba, która:

1) korzysta z pełni praw cywilnych i obywatelskich,
2) ukończyła 25 lat życia,
3) posiada teoretyczne i praktyczne wiadomości specjalne w danej gałęzi nauki, techniki, sztuki, rzemiosła, a także innej umiejętności, dla której ma być ustanowiona,
4) daje rękojmię należytego wykonywania obowiązków biegłego,
5) wyrazi zgodę na ustanowienie jej biegłym.

Biegli ustanawiani są na okres 5 lat dla poszczególnych gałęzi nauki, techniki, sztuki, rzemiosła, a także innych umiejętności. Okres ustanowienia upływa z końcem roku kalendarzowego. Ustanowienie biegłym uprawnia po złożeniu przyrzeczenia do wydawania opinii na zlecenie sądu lub organu prowadzącego postępowanie przygotowawcze w sprawach karnych w zakresie tej dziedziny, dla której ustanowienie nastąpiło.

Kwestie samego zakresu dopuszczalności i przeprowadzania dowodu z opinii biegłego regulują ustawy procesowe: art. 193 i nast. kpk oraz art. 278 i nast. kpc.

Art. 195 kpk stanowi: „Do pełnienia czynności biegłego jest obowiązany nie tylko biegły sądowy, lecz także każda osoba, o której wiadomo, że ma odpowiednią wiedzę w danej dziedzinie”. Z niniejsze-

go zapisu jednoznacznie wynika, iż w charakterze biegłego może być powołany każdy, także spoza listy biegłych sądowych, jeżeli ma odpowiednie kwalifikacje zawodowo-specjalistyczne, a nie ma zastrzeżeń co do jego bezstronności (tak też T. Grzegorczyk, Komentarz do kpk, Zakamycze 2004, str. 526). Zaznaczyć również trzeba, że zgodnie z utrwalonym w judykaturze poglądem nie ma żadnej różnicy w traktowaniu i ocenie opinii biegłego sądowego lub innego biegłego powołanego w określonej sprawie przez organ procesowy (w. SN z 5 lutego 1974 r., III KRN 371/73, OSNKW 6/1974, poz. 117). Analogiczna regulacja zawarta jest w art. 278 i nast. kpc (tak T. Ereciński, J. Gudowski, M. Jędrzejewska, Komentarz do kpc, Warszawa 2002, str. 554).

Posiadanie wiadomości specjalnych powinno być wykazane dokumentami lub innymi dowodami. Ocena, czy posiadanie wiadomości specjalnych zostało dostatecznie wykazane, należy do prezesa. Po „pozytywnej weryfikacji załączników" następuje wpisanie na listę. Prezes Sądu Okręgowego działa w takich wypadkach w podwójnym charakterze: jako organ administracji sądowej i jako organ administracji publicznej, uprawniony z mocy przepisów do wydawania decyzji administracyjnych w przedmiocie dopuszczenia do wykonywania określonych czynności w charakterze biegłego. Konsekwencją tego (po wyczerpaniu drogi odwoławczej) jest możliwość zaskarżenia takiej decyzji do WSA. Wypowiadał się bowiem w tej kwestii Sąd Najwyższy, co prawda sprawa dotyczyła tłumaczy przysięgłych, ale analogia jest tu uprawniona (uchwała SN z 29.04.1992r. IIIAZP3/92 OSNC 1992/10/172). Zauważmy, że możliwe jest więc, aby to sąd administracyjny faktycznie decydował o tym, ilu biegłych i z jakich dziedzin prezes powinien ustanowić.

Obecnie na liście Prezesa Sądu Okręgowego w Szczecinie wpisanych jest 352 biegłych (w tym: 14 psychiatrów i 3 specjalistów z zakresu medycyny sądowej) oraz 305 tłumaczy przysięgłych.

Jeszcze jedna rzecz wymaga zasygnalizowania. Chodzi o wzajemne relacje pomiędzy biegłymi. Czasami trudno nie zauważyć, że spory, które prowadzą oni między sobą na salach sądowych, mają podtekst ambicjonalny, a czasami trudno oprzeć się wrażeniu, że chodzi o osobiste urazy. Być może wynika to także z tego, że zamawiający opinie zwracają się do osób, które w swoim środowisku zawodowym nie zawsze cieszą się najwyższym szacunkiem. Jest to szczególnie niebezpieczne, bo może prowadzić w konsekwencji do zepchnięcia na dalszy plan istoty sprawy, czyli ustalenia metodami naukowymi okoliczności, których w inny sposób dowieść nie można. [ ]

adw. Roman Ossowski
apl. adw. Marcin Kładny

reklama

Może jeszcze przed odpowiedzią na pierwsze pytanie, chciałbym trochę „z ostrożności obrończej" powiedzieć, że kandyduję na funkcję senatora z listy PO, która to partia postuluje zlikwidowanie wyższej izby parlamentu. Trzeba jednak wiedzieć, że poważne ugrupowanie polityczne jakim jest Platforma Obywatelska, nawet myśląc o likwidacji Senatu, chce jednak wykorzystać jego rolę w poprawianiu prawa, które jest zbyt polityczne, z całą pewnością populistyczne, a przede wszystkim niezbyt doskonałe. Zatem kandyduję nie jako rasowy polityk, a przede wszystkim jako doświadczony prawnik.

Z przekonania jestem liberałem

z adw. Włodzimierzem Łyczywkiem, kandydatem na senatora RP, rozmawia Roman Ossowski

Roman Ossowski: Jakie ma Pan doświadczenie w działalności publicznej?

Włodzimierz Łyczywek: W czasach szkolnych, mając kilkanaście lat, już byłem prezesem Ogólnoszczecińskiego Klubu Młodzieży Szkolnej w Pałacu Młodzieży i organizowałem wiele poważnych imprez. Do 1989 roku działałem tylko w samorządzie adwokackim, nigdy bowiem nie udzielałem się w żadnym ugrupowaniu politycznym, ale równocześnie zawsze interesowała mnie działalność społeczna i dlatego też wiele swojej energii poświęcałem działalności organizatorskiej w klubach sportowych.

Onegdaj byłem, co jest chyba rzadkością wśród prawników, kierowcą rajdowym i wyścigowym, a potem Prezesem Automobilklubu, PZM, Wiceprezesem Pogoni Szczecin, Prezesem Polskiego Związku Brydża Sportowego i działałem jeszcze w kilku innych klubach.

W 1994 roku wybrany zostałem do Rady Miasta z ugrupowania apolitycznego i w konsekwencji pełniłem funkcje radnego i wiceprzewodniczącego Rady Miasta aż do 1998 roku.

W samorządzie adwokackim działam od końca lat 70-tych, przeszedłem wszystkie możliwe funkcje w tym samorządzie, byłem dwie kadencje Dziekanem Izby Szczecińskiej i blisko 15 lat członkiem Naczelnej Rady Adwokackiej.

Platforma Obywatelska jest moim pierwszym ugrupowaniem politycznym, do którego należę, ale za to od samego początku.

R.O.: Prawdopodobnie PO utworzy rząd z PiS. W takim rządzie kandydatami na stanowisko ministra sprawiedliwości są Zbigniew Ziobro i Zbigniew Wasserman. Czy uważa Pan, że są to dobre kandydatury?

W.Ł.: Sondaże zależą trochę od koniunktury politycznej, trochę od zdarzeń medialnych wywołujących tę koniunkturę. Wszakże według „prognoz długoterminowych" wydaje się zasadnym twierdzenie, iż PO może utworzyć rząd z PiS-em.

Kandydatury wymienione przez Pana, nagłaśniane przez media, to kandydatury znane z różnych komisji śledczych, a o nich nie jestem najlepszego zdania.

Platforma Obywatelska nie wskazywała jeszcze kandydatury na ministra sprawiedliwości. Nie wątpię że w zanadrzu stosowną kandydaturę ma i myślę, że będzie ona bardziej odpowiednią od tych przez Pana wymienionych.

R.O.: Na czym zamierza Pan skoncentrować swoją działalność w Senacie?

W.Ł.: Już na wstępie trochę wyjaśniłem, jak wyobrażam sobie rolę Senatu, a co za tym idzie i moją w nim rolę. Nie chciałbym jednoznacznie zawężać pola swojej aktywności, ale z punktu widzenia emocjonalnego, to oczywiście wymiar sprawiedliwości, a poza tym, gdzie tylko można, będę lobbował i podejmował faktyczne działania na rzecz Szczecina. Nasze miasto potrzebuje tego.

R.O.: Przejdźmy do szczegółów. W środowisku sędziowskim rozpowszechnione są oczekiwania wzrostu wynagrodzeń. Zdaniem wielu powinny one być porównywalne do uposażeń sędziów z Europy zachodniej. Czy Pana zdaniem jest to zasadne?

W.Ł.: Podzielam ten pogląd, aczkolwiek, gdybym takie pytanie otrzymał od redaktora pisma lekarskiego, to pewnie tam byłyby oczekiwania co do wzrostu wynagrodzeń lekarzy i pielęgniarek. Generalnie zawsze byłem zdania, iż koroną zawodów prawniczych jest zawód sędziego, który powinien być tak wynagradzany, aby nikomu nie przyszło do głowy, żeby mógł być on podatny na jakiekolwiek wpływy, a tym bardziej na korupcję.

Wychodząc trochę poza pytanie, jestem także zwolennikiem zmian, w szczególności ustawy o ustroju sądów powszechnych, w taki sposób, aby przyszłe etaty sędziowskie były obsadzane przez doświadczonych prawników - praktyków wywodzących się ze wszystkich zawodów prawniczych.

R.O.: Ustrój prokuratury jest mocno zhierarchizowany. Czy nadmierna podległość służbowa nie jest czynnikiem hamującym efektywność działań prokuratury?

W.Ł.: Pamiętam doskonale takie sympozjum zorganizowane przez ZPP w ubiegłym roku na temat zmian strukturalnych

prokuratury i stworzenia funkcjonowania urzędu prokuratorskiego nieco na wzór amerykański, gdzie niezależność prokuratora byłaby zbliżona do niezawisłości sędziowskiej.

Oczekiwania prokuratorów są chyba oczywiste. Struktura prokuratury w chwili obecnej ma charakter czysto wojskowy, jej przeobrażenie wymagałoby nie tylko wielu zmian ustawowych, ale też i stworzenia pewnej nowej jakości w prokuraturze RP. Nie chodzi tylko o chęć bycia niezależnym, ale i o umiejętność bycia odpowiedzialnym, bowiem „zasłona w postaci szefa" jest w sumie pozycją bardzo wygodną w aktualnie istniejącym systemie. Jestem przekonany, że prokuratorzy są odpowiedzialni, trzeba im jedynie stworzyć warunki i obdarzyć większym zaufaniem. Pamiętajmy, że dotyczy to prokuratorów wszystkich szczebli.

R.O.: Aplikacje pozaetatowe w sądzie i prokuraturze to teraz reguła. Czy Pana zdaniem jest to dobre rozwiązanie?

W.Ł.: Rzeczywiście można przyjąć, że ten model aplikacji sądowej i prokuratorskiej jest modelem ubogim. Patrząc na to zjawisko z punktu widzenia makroekonomicznego, nie można jednakże zapominać, iż sytuacja ta ma podłoże ekonomiczne wynikające ze szczupłości środków budżetowych pozostających w dyspozycji resortu sprawiedliwości.

Z przekonania jestem liberałem, no może nie aż takim, aby redukować państwo do roli „stróża nocnego", ale z całą pewnością moje ugrupowanie polityczne, po wygranych wyborach, podejmie głębokie działania strukturalne w zakresie prywatyzacji, wprowadzi radykalne zmiany w prawie podatkowym, spowoduje zaktywizowanie gospodarki w taki sposób, aby budżet państwa przestał borykać się ze zjawiskiem „krótkiej kołdry" i mógł skupić się m.in. na doposażeniu organów wymiaru sprawiedliwości, policji i innych resortów związanych z prawidłowym funkcjonowaniem państwa XXI wieku. Wówczas nie będzie problemu z aplikacjami pozaetatowymi.

R.O.: Czy konieczna jest w Polsce unifikacja zawodów adwokata i radcy prawnego?

W.Ł.: Niemalże od zawsze byłem zdania, że anachronizmem jest pozostawianie dwóch zawodów prawniczych - radcy prawnego i adwokata.

Takie funkcjonowanie obok siebie dwóch zawodów prawniczych miało miejsce tylko we wzorach francuskich, a poza tym w krajach byłego obozu socjalistycznego i w zasadzie w chwili obecnej to taki skansenowy rozdział nie funkcjonuje już nigdzie na świecie.

Środowiska prawnicze to powinna być olbrzymia siła lobbistyczna, a ponadto prawotwórcza – że tak nie jest to m.in. wynik braku unifikacji. Byłem zawsze zwolennikiem pomysłu, który zakładał, że powinna być jedna korporacja adwokacka zrzeszająca wszystkich adwokatów i radców prawnych wykonujących swój zawód w kancelariach bądź spółkach.

R.O.: Czy obecny Minister Sprawiedliwości należycie wykonuje swoją funkcję?

W.Ł.: Trudno poddać ocenie działalność Ministra Sprawiedliwości, tym bardziej, że aktualny minister sprawuje tę funkcję dopiero od roku. Generalnie rzecz biorąc stanowisko to jest stanowiskiem politycznym, a szczególnie mocno upolitycznionym w obecnej kadencji sprawowania władzy przez SLD.

Mogę tylko tyle powiedzieć, że rejtanowskie zachowania Pana Ministra Kalwasa w sprawie nowych uregulowań prawa o adwokaturze i radcach prawnych niewiele dały, a zatem nie ma on zbyt silnej pozycji osobistej w parlamencie, a nawet, jak się wydaje, w ugrupowaniu politycznym, z którego się wywodzi.

R.O.: Wróćmy do Szczecina. Jakie są Pana zdaniem najważniejsze kierunki rozwoju naszego miasta?

W.Ł.: W Szczecinie mieszkam z krótką przerwą na studia, od 1945 roku, a nawet i w trakcie studiów w Poznaniu byłem Przewodniczącym Koła Regionalnego Szczecinian Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich, co niedwuznacznie wskazuje na mój emocjonalny stosunek do naszego miasta.

Z przykrością stwierdzam, że na tle innych ośrodków regionalnych Szczecin stał się głęboką prowincją.

Znaczenie onegdaj portu, floty, a dalej floty rybackiej i szeregu wielkich przedsiębiorstw, takich jak: stocznia, Police, Wiskord, zakłady produkujące Junaka – to niestety zamierzchła przeszłość. Część z tych przedsiębiorstw nie istnieje, inne mają coraz mniejsze znaczenie w skali kraju.

Szczecin ze swoim położeniem geopolitycznym (bliskością Berlina, infrastrukturą drogową, kolejową, rzeczną, jaką mamy w odległości kilku kilometrów na zachód), powinien wreszcie wykorzystać swoje szanse rozwojowe.

Nie mamy wszakże szczęścia, co przecież sobie sami zawdzięczamy, ani do znaczących przedsięwzięć gospodarczych, ani też do ludzi, którzy swoim autorytetem stworzyliby szansę na ich realizację.

Wybranie, i to już po raz drugi, na Prezydenta miasta, człowieka być może nawet zasłużonego dla demokracji, ale przecież nieodpowiedniego na te czasy, to zasługa elektoratu, ale na elektorat nikt się nie może obrażać – takie są prawa demokracji.

R.O.: Jak Pan ocenia pracę obecnych senatorów z naszego okręgu?

W.Ł.: Na to pytanie w ogóle nie sposób odpowiedzieć, jako że Senat zdominowany jest przez jedno ugrupowanie polityczne aż w 80%. Z naszego okręgu wybrano senatorami dwóch polityków z SLD, którzy niczym specjalnym nie zasłynęli w pracach tej izby, a medialnie to jeden z nich był przez wiele dni przedmiotem felietonów prasowych na temat swojego zachowania na lotnisku w Warszawie.

Funkcja senatora nie jest funkcją, moim zdaniem, stricte polityczną, kierunki bowiem zmian ustawodawczych i rzeczy istotnych dla rozwoju państwa nadaje Sejm - Senat ma w zasadzie funkcję kontrolną w zakresie procesu legislacyjnego i dlatego ze wszech miar pożądanym byłoby, aby w Senacie znalazło się duże grono prawników, a nie ludzi, którzy traktują to jako zesłanie po innych wcześniej pełnionych funkcjach państwowych.

R.O.: Czy w razie wyboru ma Pan zamiar zawiesić swoją praktykę adwokacką?

W.Ł.: Nie wiem, czy to będzie do końca możliwe, ale w chwili obecnej oceniam, że nie chcę być politykiem zawodowym, bowiem taką działalność polityczną rozpoczyna się w wieku 30-tu lat, a chociaż czuję się bardzo młodo, jednak mam dwa razy więcej. Bardzo cenię sobie swój zawód i mam nadzieję, że uda mi się pogodzić i wykonywać w sposób najlepszy jak tylko potrafię, obie te funkcje.

R.O.: Wyborcy mają prawo wiedzieć, jakim majątkiem Pan dysponuje. Proszę powiedzieć, gdzie Pan mieszka, jakim jeździ samochodem, gdzie Pan ostatnio spędzał urlop.

W.Ł.: Mieszkam we własnym domu na Pogodnie, mojej ulubionej dzielnicy, przy ul. Kochanowskiego tuż przy Lasku Arkońskim. Od wielu lat jeżdżę tą samą marką samochodów, nigdy nie nowym, bo na to mnie nie stać, w chwili obecnej 8-letnim mercedesem.

Bardzo lubię podróżować, w tym bowiem względzie mam olbrzymie zaległości z czasów sprzed zmiany ustroju, kiedy to było utrudnione. W 1968 roku, po zakończeniu studiów, otrzymałem zaproszenie do rodziny we Francji na spędzenie wakacji, a kiedy poszedłem na rozmowę w biurze paszportów przy ul. Małopolskiej (w pobliżu obecnego budynku Sądu Okręgowego) to rozmawiający ze mną oficer wiadomych służb zapytał, czy znam Bieszczady, a kiedy odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że ich nie znam – to oficer ten zaproponował żebym najpierw poznał Bieszczady – i tak też się stało.

Staram się przynajmniej raz do roku wyjechać gdzieś tak daleko, gdzie nie ma zasięgu moja komórka. W zeszłym roku w sposób dosyć zwariowany zwiedzałem antypody i wyspy Pacyfiku, w tym roku planuję dzikie kraje Afryki południowo-zachodniej.

R.O.: Dziękuję za rozmowę i życzę Panu (i sobie także), aby następnego wywiadu do In Gremio udzielił senator RP Włodzimierz Łyczywek. [ ]

Biegli, jacy są, a jacy być powinni

[dr Jerzy Pobocha]
psychiatra, biegły sądowy

W procesie, na sali sądowej, biegłemu nie można i nie powinno się przypisywać jakiegoś koloru. Jednak wśród dowodów osobowych usytuowanie biegłego i jego możliwości są szczególne i wyjątkowe. Kiedy ekspert ustala jakiś fakt - rodzaj obrażeń, obecność trucizny, diagnozuje chorobę - bliższy jest kolorowi czerwonemu. Współcześnie ukuto powiedzenie, iż „w procesie o winie oskarżonego rozstrzygają biegli, a sąd wymierza tylko karę". Ten skrajny i przejaskrawiony pogląd oddaje oczywiście tylko część prawdy o biegłych, ich roli i możliwościach. Ekspert to również „naukowy sędzia", który nie tylko potrafi metodami swojej dyscypliny naukowej pewne fakty, zjawiska wykryć, ustalić, ale także ocenić czy oszacować w ramach obowiązującego prawa, dopasować do wymogów - kryteriów kodeksowych. Na tej drodze bliżej mu do koloru fioletowego, który dowody powinien rozpoznać, zrozumieć, ocenić, przyjąć lub odrzucić, gdyż musi być „najwyższym biegłym". Ten doktrynalny dogmat krytykowany czy nawet wyśmiewany przez niektórych prawników z punktu widzenia zasad prawa, pragmatyki i logiki, jest i musi się ostać.

Ustalenia biegłego mogą i powinny być wykorzystywane dla ochrony i obrony oskarżonego. Jednak, aby „zielony" mógł wykorzystać te możliwości nauki, musi je znać, chcieć i umieć ich użyć. Dlatego można by powiedzieć, że w procesie kolor biegłego nie tyle się zmienia, ile rzutuje na niego „barwa" prawnika, który występuje o jego opinię. Sformułowaniom tym można oczywiście zarzucić, iż opinia biegłego nie może i nie powinna być ani prokuratorska, ani adwokacka. Tak wynika nie tylko z zasad prawa, potrzeb sprawiedliwego procesu, dochodzenia do prawdy obiektywnej, ale i z etycznych zasad pracy biegłego.

Jeżeli spojrzeć na wzajemne relacje biegły - wymiar sprawiedliwości „chłodnym okiem", krytycznie i analitycznie, to uderza tu szereg nieprawidłowości. „Wina" za ich powstawanie, a nawet „swoiste pielęgnowanie" leży po obu stronach. Dlatego każda ze stron (uczestników postępowania) ma swoją niewątpliwą rolę w ich dostrzeganiu i usuwaniu.

Problem pierwszy to kompetencje biegłego. Ogólnikowy przepis stanowi, iż biegłym zostaje każdy, który ma wiedzę w jakiejś dziedzinie. Przepis ten niekiedy jest rozumiany, iż ekspertem może być każdy, natomiast poziom wiedzy i doświadczenia, jako trudny do sprawdzenia, często nie jest brany pod uwagę, zgodnie z omówioną już wcześniej przeze mnie na łamach „In Gremio" zasadą „pięciu B" („byle kto, który pisze byle co, itd.). Dopuszczanie takich ekspertów do opiniowania jest oczywiście specjalnością polską, niespotykaną w innych krajach, w których ekspert, np. psychiatra, musi posiadać nawet nadspecjalizację (jak w USA czy na Litwie), przejść odpowiednie przeszkolenie, odbyć praktykę i wykazać się umiejętnościami praktycznymi i wiadomościami teoretycznymi oraz, co oczywiste, znajomością prawa. Nieprzestrzeganie tego powoduje, że biegły błędnie diagnozuje, ponieważ nigdy nie miał do czynienia z przestępcami, więzieniem, psychiatrią penitencjarną i błędnie opiniuje, ponieważ nie zna albo nie rozumie, lub niewłaściwie interpretuje odpowiedni przepis kodeksowy. Biegły może być również niekompetentny osobowościowo i emocjonalnie. Wtedy rodzaj sprawy, wygląd, zachowanie się i postawa badanej osoby wobec eksperta, ewentualne groźby itp. powodują powstawanie emocji, lęku, co w efekcie świadomie lub podświadomie wpływa na sformułowanie opinii i wnioski końcowe. „Próba sali sądowej", tj. przesłuchanie eksperta przed sądem, jest swoistym testem jego wiedzy, kompetencji zawodowych, osobowościowych, w tym i emocjonalnych. Ma to miejsce szczególnie wtedy, gdy na sali jest wielu oskarżonych, uczestników postępowania, liczna publiczność i dziennikarze. Historia polskich „wielkich" procesów, jak np. sprawa prof. Tarwida uczy, że to biegły posiadający najwyższy cenzus naukowy, ale nie obyty z salą sądową, ma znaczne trudności przy udzielaniu odpowiedzi zadawanych mu przez wybitnych i zaangażowanych w proces adwokatów.

Na kompetencję biegłego wpływ ma poziom jego aspiracji. Ekspert, który opiniuje z niekompletnego materiału dowodowego, szczątkowej czy zafałszowanej dokumentacji lekarskiej, nie wnioskuje o uzupełnienie postępowania o nowe dowody (rzeczowe i osobowe), jest być może bardzo wygodnym i użytecznym partnerem dla organu zlecającego ekspertyzę, ale na pewno nie pomoże w dążeniach do poznania prawdy sądowej (obiektywnej). Już Immanuel Kant pisał: „Źródłem naszych błędów jest nie tylko brak wiedzy, lecz również to, że często wydajemy sądy i opinie nie mając rozeznania, jakie elementy są do tego niezbędne".

Problem drugi to pozycja biegłego w procesie. Biegli są odpowiedzialni za poziom swojej opinii, nie mogą zmieniać jej treści pod wpływem namowy, prośby czy lęku. Jednak, mimo ich szczególnej roli, często rozstrzygającej o winie w procesie, nie podlegają ta-

kiej ochronie prawnej, jak inni uczestnicy postępowania, ponieważ nie są funkcjonariuszami publicznymi. Status funkcjonariuszy publicznych mają: sędzia, ławnik, prokurator, notariusz, kurator sądowy, pracownicy administracji rządowej, samorządowej, kontroli, kierownicy instytucji państwowych, mundurowi funkcjonariusze (art. 115 § 13 kk). Dlatego rodzi się pytanie, czy biegły nie jest powołany do „ochrony bezpieczeństwa publicznego", oczywiście w szerokim rozumieniu tego sformułowania. Natomiast z drugiej strony biegły, w przypadku popełnienia przestępstwa „w związku z pełnioną funkcją", odpowiada jak funkcjonariusz publiczny. Prawo stosuje tu więc zasadę: „karać, nie chronić", z oczywistą szkodą dla wymiaru sprawiedliwości. Dawne sformułowanie prof. Bafii: „Taki będzie wymiar sprawiedliwości, jakich ma świadków" można sparafrazować: „taki będzie wymiar sprawiedliwości, jakich będzie miał świadków i biegłych".

Powiedzenie łac. „Errare humanum est" – omylność jest ludzka, dobrze jest przypominać przy omawianiu błędów opinii ekspertów.

Sytuacja przedstawiciela nauki sądowej w procesie jest wyjątkowa, ponieważ jego często specyficzna, niekiedy unikalna wiedza, swoista aparatura pojęciowa, słownictwo, którego używa formułując opinię sprawia prawnikowi trudności z jej rozumieniem, powoduje bezradność, a w efekcie i bezczynność w zakresie analizy wywodów biegłego pod kątem ich rzetelności, prawdziwości, logiczności.

Stąd u części prawników pojawia się postawa bezradności wobec stwierdzeń eksperta, z tendencją do przyjmowania ich „na wiarę" itd. Prawnicy nie przestrzegają tu, co budzić musi zdumienie, elementarnych zasad prawa, doktryny i orzecznictwa, które zakazują przyjmowania dowodów bez ich uzasadnienia i zrozumienia. Sytuacja ta szczególnie często występuje w psychiatrii sądowej, gdzie wnioski opinii w zakresie stopnia ograniczenia poczytalności, stopnia prawdopodobieństwa dokonania czynu o znacznej społecznej szkodliwości, a w szczególności w zakresie zdolności lub niezdolności do przebywania w areszcie czy ZK, często są jedno – dwuzdaniowymi konkluzjami. W tym zakresie prawników już nic nie może usprawiedliwić, ponieważ występowanie w opinii takich niedociągnięć (brak uzasadnienia) jest widoczny na pierwszy rzut oka dla każdego, a co dopiero dla osoby znającej i stosującej prawo. „Dla usprawiedliwienia" prawników trzeba wskazać, iż częściową „winę" za taki stan rzeczy ponoszą i sami biegli, a szerzej nauka sądowa, która nie dopracowała się odpowiedniego poziomu, zasad opiniowania, dowodzenia w ekspertyzie.

Problematyce błędów w opiniodawstwie sądowo-lekarskim swoją pracę habilitacyjną poświęcił dr hab. Jerzy Kunz, ZMS CM UJ. Autor przeanalizował 195 opinii sądowo–lekarskich wydanych w sprawach karnych z lat 1991-1997, w tym 84 opinii po wykonaniu sekcji zwłok, oraz 111 opinii dotyczących stopnia

uszkodzenia ciała. Analiza tych ekspertyz wykazała, iż „większość została oceniona jako nieprawidłowe, zaś przyczyny tych nieprawidłowości szczegółowo omówiono" *(J. Kunz: Błąd w opiniach sądowo-lekarskich w sprawach przestępstw przeciwko zdrowiu i życiu. Rozprawa habilitacyjna. Uniwersytet Jagielloński Collegium Medicum, Kraków, 1999)*. W drugim etapie dr J. Kunz przeanalizował 850 spraw osądzonych w Sądzie Rejonowym w M. oraz 5.669 w Sądach Rejonowych w Krakowie, z których wybrał 326 opinii o stopniu uszkodzenia ciała wydanych przez „biegłych z zakresu chirurgii", wpisanych na listę biegłych sądowych. Odsetek błędnych opinii w tych dwóch grupach był porażający, bo wynosił średnio ok. 70% (!). Pracę swoją rozesłał do kilkudziesięciu instytucji związanych i/lub odpowiedzialnych za sytuację w wymiarze sprawiedliwości. Otrzymał tylko jedną odpowiedź - z Biura Bezpieczeństwa Narodowego Kancelarii Prezydenta RP, pozostali pominęli to milczeniem.

Dlaczego biegli popełniają błędy? – to temat osobnych opracowań. Zagadnieniom tym była poświęcona konferencja naukowo – szkoleniowa pt.: Potrzeby i możliwości multidyscyplinarnej kontroli opinii sądowo – psychiatrycznych, Szczecin - Pogorzelica, 2 -4

września 1999 roku. Materiały z niej zamieszczono w piśmie „Postępy psychiatrii i Neurologii", 2000 rok, t. 9, supl. 4 (12) i do nich odsyłam czytelnika zainteresowanego tym tematem. Praktykom chciałbym przytoczyć z mojego referatu przykłady pytań – zagadnień, na które można i należy zwracać uwagę przy analizie i ocenie opinii sądowo – psychiatrycznej;

1. „Czy biegły zna i rozumie swoje uprawnienia przy podejmowaniu i opracowaniu opinii, np.„czy wie, że może nie wiedzieć"? itd.
2. Czy i jak biegły rozumie wydane mu postanowienie o badaniu, występujące w nim terminy prawne, które ma opiniować?
3. Czy biegły właściwie ustalił i zrozumiał stan faktyczny sprawy, umiał i mógł odtworzyć zachowanie się sprawcy w czasie czynu?
4. Czy biegły posiadał oryginały dokumentacji medycznej dotyczącej badanego, czy dokonał jej krytycznej analizy, zestawił ją z danymi z akt sprawy i innymi badaniami osobopoznawczymi?
5. Czy nie zachodzi potrzeba uzupełnienia materiału dowodowego pod kątem potrzeb opinii biegłych i po konsultacji z nimi, o nowe dowody: rzeczowe, osobowe, opinie biegłych innych specjalności?
6. Jakie kryteria i metody stosuje biegły przy opiniowaniu stanu, np. znacznego ograniczenia zdolności rozumienia znaczenia czynu, silnego wzburzenia?
7. Jakie kryteria diagnostyczne zastosował biegły?
8. Jakie warunki mieli biegli do wykonywanych badań, obserwacji, jaką dysponowali kadrą, czy oddział posiada atestację itd.?
9. Jaką wiedzę i doświadczenie reprezentuje biegły: staż pracy, staż w psychiatrii sądowej, przebyte szkolenia, prace ogłoszone drukiem, posiadane podręczniki, dostępność do piśmiennictwa?
10. Jakie cechy osobowości i postawy reprezentuje biegły: lękliwość, renomizm, „wszystkowiedzący", nadopiekuńczy, paternalistyczny?
11. Jaka jest forma i treść opinii: czy diagnoza jest uzasadniana, czy przeprowadzono różnicowanie z innymi zaburzeniami, czy właściwie uzasadniono przyjęte wnioski, np. co do ograniczenia poczytalności, silnego wzburzenia itp.?
12. Czy biegły nie stosował zasady in dubio pro reo, czy rozważał możliwość opinii prawdopodobnych i alternatywnych?.

Pytania takie mogą mieć formę algorytmu – kwestionariusza, albo - w bardziej rozbudowanej postaci - programu komputerowego, gdzie do każdego pytania – problemu zestawione są dodatkowe pytania, w zależności od udzielonej przez biegłego odpowiedzi *(Pobocha J.: Powstawanie błędów w opiniach sądowo – psychiatrycznych i ich wykrywanie, Postępy psychiatrii i Neurologii, 2000, 9, supl.4(12), str. 54-55).*

Zachęcam więc prawników do częstszej i lepszej kontroli opinii biegłych, wbrew zasadzie bylejakości. [ ]

Medycy sądowi.

W dawnej Polsce, za panowania Piastów i Jagiellonów, obowiązywały jednocześnie różne systemy prawne, tj. i prawo ziemskie i niemieckie, i statut litewski i prawo kanoniczne. Różne prawo obowiązujące w różnych częściach kraju było także różnie interpretowane. Na ogół jednak oględziny zwłok i ciała na potrzeby sądów dokonywali sami sędziowie bądź powoływani przez nich urzędnicy, tak jak to działo się w całej Europie Środkowej i Zachodniej. Sądy zaczęły zwracać się o opinie do cyrulików dopiero w XV-XVI wieku [2, 3].

Opracowane w 1394r. prawo starochełmińskie zawierało dość szczegółową kwalifikację uszkodzeń ciała. W XVI wieku w Europie zaczęła obowiązywać ustawa zwana „Lex Carolina" 1530-32, która ustaliła wymogi zasięgania opinii lekarzy jako znawców w przypadkach oceny niektórych przestępstw skierowanych przeciwko zdrowiu lub życiu ludzkiemu [3]. Tak więc praktycznie już w XIV wieku w Polsce wyodrębniła się specjalizacja medyczna, jaką jest medycyna sądowa.

Dziś, po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej, zaczynają obowiązywać w naszym kraju światowe i europejskie [1,4] zalecenia odnoszące się do roli biegłego w ocenie skutków przestępstw przeciwko życiu. W szczególności zwraca się uwagę na konieczność fachowego nadzoru nad osobami wykonującymi sekcje zwłok, konieczność ujednolicenia zasad przeprowadzania sekcji zwłok i sporządzania protokółów, konieczność co najmniej dwuosobowego zespołu wykonującego zarówno sekcje, jak i oględziny sądowo-lekarskie, zabezpieczenie niezawisłości biegłego. Dzisiejsza medycyna sądowa poza oceną skutków przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu obejmuje zagadnienia medycyny społecznej, medycyny komunikacyjnej, medycyny pracy, a także orzecznictwo powypadkowe. Takie zadania mogą być realizowane najwłaściwiej w Zakładach Medycyny Sądowej. Skupiają one lekarzy specjalistów z zakresu medycyny sądowej, ale też i ekspertów współdziałających z nimi, tj. chemików, biologów, antropologów, lekarzy klinicystów, stomatologów i coraz częściej biegłych inżynierów z zakresu rekonstrukcji wypadków drogowych. Jednak rola biegłego lekarza specjalisty z zakresu medycyny sądowej w takim zespole jest zawsze wiodąca, w szczególności przy ustalaniu związku przyczynowo-skutkowego między urazem a pourazowym rozstrojem zdrowia lub pourazowym naruszeniem funkcji narządów ciała.

Trochę o sobie, trochę o innych.

To medyk sądowy zobowiązany jest do przeanalizowania i uwzględnienia przy ocenie skutków urazu wszystkich dostępnych informacji odnośnie współistniejących schorzeń i okoliczności. Specjalizacja z medycyny sądowej przygotowuje biegłych do rozpoznawania, różnicowania i interpretowania dla potrzeb sądowych chorób i obrażeń ciała ludzkiego.

Rola biegłego lekarza specjalisty z zakresu medycyny sądowej wydaje się dziś dość dobrze rozumiana przez instytucje zlecające wydawanie opinii sądowo-lekarskich (policja, prokuratury, sądy oraz inne instytucje). Okazuje się jednak, że w dużej części przypadków dochodzi do zdarzeń, które zakłócają tę współpracę i „rodzą" problemy orzecznicze. Do najczęściej spotykanych można zaliczyć powoływanie lekarzy klinicystów do orzecznictwa sądowo-lekarskiego, często nie posiadających właściwego doświadczenia i wiedzy w ocenie pourazowego rozstroju zdrowia lub naruszenia czynności narządu ciała. Dodatkowo często ten sam lekarz leczy i orzeka w sprawie swego pacjenta. Ponieważ jest jednocześnie zaangażowany w proces leczenia pacjenta, a przy obecnym modelu służby zdrowia w Polsce często przez niego dodatkowo za to leczenie opłacanym – może nie być obiektywnym orzecznikiem.

Z sądowo-lekarskiego punktu widzenia w kategoriach pourazowego rozstroju zdrowia lub naruszenia funkcji narządu ciała można traktować tylko takie objawy, które spełniają jednocześnie wszystkie trzy kryteria:

1. zostały zobiektywizowane,
2. wykraczają poza zakres fizjologicznej reakcji kompensacyjno-adaptacyjnej ustroju,
3. można udowodnić związek przyczynowy z konkretnie rozpatrywanym urazem, tj. można wykluczyć ich etiologię chorobową i wpływ wcześniejszego urazu oraz wpływ ewentualnej agrawacji lub symulacji.

Uzasadnione wątpliwości na dowolnym z przedstawionych etapów wnioskowania zobowiązują specjalistę medycyny sądowej do poddania w wątpliwość lub nawet odrzucenie hipotetycznego rozstroju zdrowia z kręgu rozważeń orzeczniczych.

Praktyka sądowo-lekarska pozwala nam wnioskować, że diagnoza kliniczna przebiega z pogwałceniem wymienionych wyżej trzech zasad. Klinicysta opiera się bowiem głównie na:

- informacji o uczestnictwie pacjenta w zdarzeniu, które jedynie może powodować określone skutki,
- klinicysta na ogół wierzy pacjentom, że zgłaszane przez nich dolegliwości rzeczywiście odzwierciedlają patologię w funkcjonowaniu narządów,
- klinicysta ponadto przyjmuje za rzeczywisty wyłącznie statystycznie prawdopodobny związek przyczynowy między zakładaną patologią a zasłyszanym zdarzeniem.

Niestety, w wielu przypadkach takie opinie klinicystów są akceptowane przez sądy i prokuratury do momentu wystąpienia niespodziewanych komplikacji. Wtedy dopiero zlecenie opinii kierowane jest do Zakładu Medycyny Sądowej z prośbą o zweryfikowania opinii klinicystów.

Należy zastanowić się, co leży u podłoża takich decyzji sądów i prokuratur. Po pierwsze mogłoby się wydawać, że w rachubę wchodzą koszty ekspertyzy. Jednak analiza wystawianych rachunków przez samodzielnych biegłych klinicystów wskazuje, że koszty są podobne, a często nawet wyższe, niż wydawane przez biegłych specjalistów z zakresu medycyny sądowej. Taki proceder w konsekwencji, wcześniej czy później, musi doprowadzić do konfrontacji tychże opinii. Czasami to następuje za którymś razem i w tym momencie wszelkie uzyskane pozorne korzyści przez daną jednostkę są zniweczone, bowiem prowadzenie postępowania odtwórczego, gdzie w znacznej części zaprzepaszczono ważne

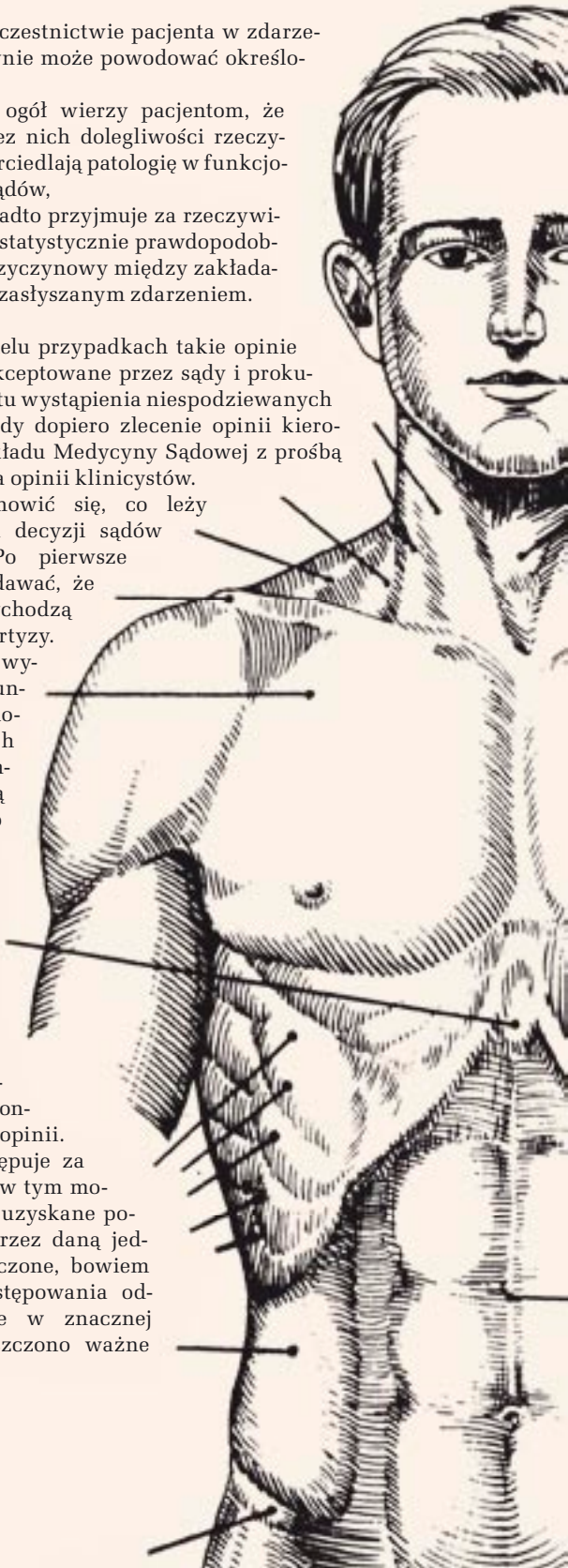

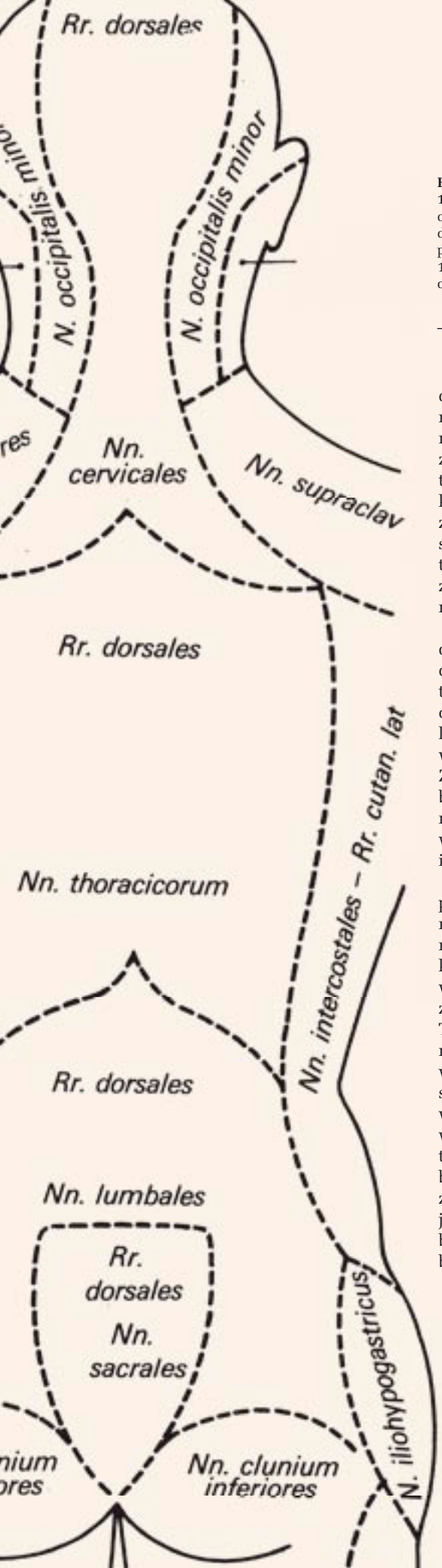

Bibliografia

1). Brinkmann B.: Wykład inauguracyjny XVIII Kongresu Międzynarodowej Akademii Medycyny Sądowej (Santiago de Compostella Hiszpania). **2).** Grzywo-Dąbrowski W.: Podręcznik Medycyny Sądowej, PZWL, Warszawa 1958. **3).** Raszeja S.: Zarys medycyny sądowej w Polsce i jej powiązań z medycyną sądową w krajach niemiecko-językcznych. Arch. Med. Sąd. i Krym. 2004, 154, 4, 184-194. **4).** Świątek Barbara. Sądowo-lekarska sekcja zwłok – realizacja wymogów proceduralnych i merytorycznych. Arch.Med.,Sąd.i Krym.,2005,LV,55-60

dowody rzeczowe, ślady obrażeń itp., w końcu prowadzą do wydania opinii nieprecyzyjnej, często nie satysfakcjonującej żadnej ze stron. Wydawać by się mogło, że w rachubę może wchodzić odległość, np. miejscowość oddalona jest znacznie od Zakładu Medycyny Sądowej w Szczecinie. Jest to pozorne. Zawsze taka osoba, która wymaga badania sądowo-lekarskiego, może dojechać do zakładu o właściwej porze, można również rozważyć inne organizacyjne rozwiązania, aby ułatwić pracę sądów w tym zakresie. Zupełnie nie do pomyślenia jest sytuacja, w której prokuratury zlecają wykonanie sekcji zwłok przez osoby do tego nieuprawnione. Wiele analizowanych przypadków z naszego regionu pozwala wnioskować, że praktyki takie prowadzą w znacznej części do zatarcia materiału dowodowego.

Spotykamy się także z sytuacjami, w których wielu kolegów lekarzy klinicystów posługuje się tytułami biegłego sądowego, ale ich wiedzy z zakresu medycyny sądowej nikt, nigdy i nigdzie nie weryfikował. Lekarze ci wykonują nie tylko oględziny osób żyjących jak i zmarłych śmiercią gwałtowną, ale i wydają opinie w zakresie spraw karnych i cywilnych, nawet wykonują sekcje sądowo-lekarskie (nie posiadając specjalizacji z zakresu medycyny sądowej). Odnotowujemy także pojawianie się instytucji i laboratoriów, które nazywane są często Zakładami Medycyny Sądowej, a w rzeczywistości takiej roli pełnić nie mogą, bowiem osoba lub osoby wykonujące opinie nie mają uprawnień do prowadzenia takiej działalności. Osoby te prowadzą badania osób żywych, wydają opinie w zakresie spraw cywilnych, biorą udział w oględzinach na miejscu zdarzenia i wykonują sekcje sądowo-lekarskie.

Kolejne niebezpieczeństwo ich działalności polega również na tym, iż nie posiadając właściwej wiedzy z zakresu medycyny sądowej i doświadczenia, mogą podlegać wpływom różnych osób czy środowisk i wydawać opinie stronnicze. Taka sytuacja jest nie do pomyślenia w Zakładach Medycyny Sądowej, kiedy każdy dokument składany na ręce sądu, prokuratury, czy policji jest wielokrotnie analizowany przez biegłego wydającego opinie i konsultowany z pozostałymi kolegami, którzy również składają swój podpis pod taką opinią. Tak więc szansa wystąpienia błędu opiniodawczego jest zminimalizowana. Nie ma również możliwości wpływu na opinię biegłego, bowiem w tym momencie w rachubę wchodzi kilka osób. Zakłady Medycyny Sadowej, usytuowane w sensie organizacyjnym w Akademiach Medycznych, jako instytucje dają znacznie większą gwarancję bezpieczeństwa w tym zakresie. Niestety wielu prawników, w tym w szczególności sędziów, jak się wydaje, nie do końca rozumie takie sytuacje i często próbuje przekonywać Kierownika Zakładu Medycyny Sądowej, by podał nazwiska biegłych wykonujących opinie przed jej wykonaniem. Należy w tym miejscu podkreślić, iż opinie zlecane Zakładom Medycyny Sądowej jako instytucji, nie powinny być kierowane personalnie. Daje to pełne poczucie bezpieczeństwa, że opinia będzie niezawisła. Stwarza również lepsze warunki bezpieczeństwa dla biegłego. [ ]

autorami artykułu są biegli sądowi
z zakresu medycyny sądowej,
z Zakładu Medycyny Sądowej, PAM w Szczecinie:

dr hab.
Mirosław Parafiniuk

dr Danuta Deboa

dr Małgorzata
Kurzejamska-Parafiniuk

Glosa nie glosa

[Marian Szabo]
Sędzia Sądu Okręgowego w Szczecinie, w stanie spoczynku

Rozwój instytucji demokracji lokalnej następował równolegle z tworzeniem prawa w tym zakresie.

W konfrontacji z życiem przepisy zdradzały niezauważalne wcześniej ułomności, zwłaszcza brak spójności wewnętrznej oraz trudności interpretacyjne. Towarzyszyły temu także błędy w stosowaniu prawa. System prawa przewidział te sytuacje wprowadzając zaskarżalność decyzji oraz dwuistancyjność sądowego postępowania odwoławczego. Jednocześnie poddał kontroli Trybunału Konstytucyjnego zgodność ustaw i przepisów prawa z Konstytucją.

„Każdy sąd może przedstawić Trybunałowi pytanie prawne co do zgodności aktu normatywnego z Konstytucją... jeżeli od odpowiedzi na pytanie prawne zależy rozstrzygnięcie sprawy toczącej się przed sądem" (art.3 ustawy z dnia 1 sierpnia 1997 r. o Trybunale Konstytucyjnym – Dz.U. Nr 102, poz.643).

Chciałoby się zatem, aby sądownictwo nasze, świadome ułomności prawa, śmielej przejawiało inicjatywę poddawania ocenie Trybunału Konstytucyjnego zgodność przepisów prawa z Konstytucją, zaś Trybunał, świadomy swej roli i potrzeby poprawiania prawa, bardziej liberalnie stosował przepis art. 3 ustawy o Trybunale Konstytucyjnym.

Uwagi te nasuwają mi się na marginesie wyroków Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Szczecinie wydanych w sprawach S.A. /Sz II 298/04 i IISA/Sz 14 /05.

Zostały one wydane w związku z sytuacjami dotyczącymi składu Rady Miejskiej w C. Na wniosek Wojewody Zachodniopomorskiego rada ta stwierdziła wygaśnięcie mandatu Józefa S., gdyż przez pełnienie funkcji prezesa zarządu Rejonowej Spółdzielni Mieszkaniowej w C., prowadzącej swą działalność z wykorzystywaniem gruntów stanowiących własność Gminy C., naruszał zakaz ustanowiony w przepisie art. 24 f.ust.1 ustawy o samorządzie gminnym z 8 marca 1990 r. (Dz. U. Nr 16 poz. 95 – z późniejszymi zmianami) co stosownie do przepisu art.190 ust.1 pk 2a Ordynacji wyborczej do rad gmin, rad powiatów i sejmików województw (DzU.Nr 159 poz.1547 – z późniejszymi zmianami) skutkuje wygaśnięciem mandatu.

Rada Miejska stosownie do treści przepisu art.194 ust.1 tejże ordynacji na następnej sesji podjęła uchwałę o wstąpieniu na opróżnione miejsce radnego Mirosława M.

Sytuacja normalna i powtarzająca się w codziennej praktyce rad stała się skomplikowana w chwili, gdy Wojewódzki Sąd Administracyjny wyrokiem z dn.7 lipca 2004 roku stwierdził nieważność uchwały Rady Miejskiej w C. o wygaśnięciu mandatu Józefa S.

Sąd stanowisko swe oparł na dwóch przesłankach:

- spółdzielnia, której prezesem zarządu był radny Józef S. posiadała grunty stanowiące własność Gminy C. na zasadzie wieczystego użytkowania; prawo to zbliżone jest do prawa własności i stanowi samodzielny tytuł prawny do korzystania z nieruchomości z wyłączeniem uprawnień właściciela,

- prezes spółdzielni mieszkaniowej nie prowadzi działalności gospodarczej, ani nie zarządza działalnością gospodarczą, o której mowa w artykule 24f.ust.1 ustawy o samorządzie gminy, lecz zarządza działalnością prowadzoną przez osobę prawną, której to działalności art.24f.ust.1 nie obejmuje.

Od tej chwili mandat zdobyty w czasie wyborów samorządowych przez Józefa S. obsadzają on sam oraz Mirosław M. Tym samym Rada Miejska w C. zwiększyła swą liczebność do 22 radnych.

Dało to powód Wojewodzie Zachodniopomorskiemu do wezwania rady do uchylenia swej uchwały o wstąpieniu Mirosława M. jako radnego w miejsce Józefa S. Po niezastosowaniu się rady do tego wezwania wojewoda wniósł do sądu administracyjnego skargę z żądaniem stwierdzenia nieważności tej uchwały. Wojewoda świadom, że ważność uchwały oceniać należy według stanu faktycznego i prawnego na dzień jej podjęcia, żądanie swe oparł na stwierdzeniu, że skoro nastąpiło zdarzenie (uznanie za nieważną uchwały o wygaśnięciu mandatu Józefa S.), w świetle którego mandat Józefa S. nie wygasł, to uchwała o wstąpieniu na jego miejsce Mirosława M., nie znajdując oparcia w obowiązujących przepisach, pozostaje w rażącej sprzeczności z przepisem art.194 ust. 1 Ordynacji wyborczej do rad oraz narusza przepis art. 17 pk 2 ustawy o samorządzie gminnym, według którego w radach gmin o liczebności między 20 a 50 tysiącami mieszkańców powinno zasiadać 21 radnych.

Sąd wyrokiem z dnia 11 maja 2005 r. skargę wojewody oddalił.

Wychodząc z założenia, że uchwała o wstąpieniu na miejsce opróżnionego mandatu zapadła przed unieważnieniem uchwały o wygaśnięciu mandatu

Czy prezes spółdzielni mieszkaniowej, spółdzielni lekarskiej, spółdzielni gminnej Samopomoc Chłopska, dyrektor rejonu energetycznego eksploatującego urządzenia energetyczne znajdujące się na gruntach gminnych – jako zarządzający działalnością gospodarczą, a także radcy prawni tego rodzaju jednostek oraz inni pełnomocnicy w prowadzeniu takiej działalności w każdym wypadku naruszają zakaz ustanowiony w art.24 f ust. 1 ustawy o samorządzie gminnym?

dotychczasowego radnego, sąd uznał, że jej prawidłowość winna być oceniana na dzień podjęcia, a nie przez pryzmat zdarzeń zaistniałych w późniejszym czasie. Nadto stwierdził, że nie narusza ona przepisu o ustawowym składzie rady z uwagi na to, że faktyczny jej skład winien być oceniany zgodnie z całokształtem przepisów obowiązujących w tej materii i jeśli odstępstwo, jakie ma miejsce, wynikło ze stosowania się do obowiązujących przepisów, to nie może to być uznane za naruszenie przepisu art.17 ustawy o samorządzie gminnym.

Trafności rozstrzygnięcia sądu nie da się zakwestionować. Szkoda jedynie, że sąd nie zwrócił uwagi na konsekwencje prawne uchwały o obsadzeniu wygasłego mandatu wynikające z faktu, że jest to odmiana wyborów uzupełniających.

Jeżeli ma miejsce wygaśnięcie mandatu w gminie do 20 tysięcy mieszkańców, wówczas zarządza się i przeprowadza wybory uzupełniające (art.192 ust.1 Ordynacji wyborczej do rad..). W gminach liczących ponad 20 tysięcy mieszkańców rada na następnej sesji po stwierdzeniu wygaśnięcia mandatu podejmuje uchwałę o wstąpieniu kandydata z tej samej listy, który uzyskał kolejno najwyższą liczbę głosów (art.194 ust.1 Ordynacji wyborczej do rad).

Podobnie jak brak jest podstawy prawnej (poza uwzględnieniem protestu wyborczego) do unieważnienia wyboru radnego dokonanego w wyborach uzupełniających, tak samo brak jest podstawy do unieważnienia uchwały rady podjętej na podstawie art.194 ust.1 Ordynacji.

Liczba przypadków, w których po wstąpieniu innej osoby na miejsce radnego przywrócono poprzedniego radnego w drodze unieważnienia uchwały o wygaśnięciu mandatu, przestała być śladowa, zatem wszelkie racjonalne wysiłki powinny być skierowane nie tyle na usuwanie skutków, do czego nie ma należytych podstaw prawnych, ile na przeciwdziałanie przyczynom.

Wśród tych przyczyn zwrócić należy uwagę na dwie. Poczynając od drugiej, to zawarta w przepisie art.194 ust.1 Ordynacji regulacja, że uchwałę o wstąpieniu na miejsce wygaśniętego mandatu podejmuje się na następnej sesji, zamiast na najbliższej po zakończeniu postępowania odwoławczego wobec uchwały o wygaśnięciu mandatu. Przepis w tym brzmieniu rodzi możliwość nieusuwalnego powołania innej osoby na opróżniony mandat zanim przestanie być możliwy powrót poprzedniego radnego na to miejsce.

Omawiany wyrok załatwił sprawę pozostawiając problem, który w niej wystąpił i i to nie jako precedens. Taka sama sytuacja wystąpiła m.in. w gminach Dobrzany i Myślibórz.

Prawidłowa ocena sytuacji winna iść w tym kierunku, że przepis art.194 ust.1 Ordynacji wyborczej do rad w swym brzmieniu powoduje komplikacje prawne i jest sprzeczny z porządkiem prawnym właściwym dla państwa prawa, a zatem należało wykorzystać możliwość opisaną w art.3 ustawy o Trybunale Konstytucyjnym i zwrócić się do Trybunału z pytaniem, czy przepis ten nie pozostaje w sprzeczności z art.169 ust.3, art.2 i art.4 ust.2 Konstytucji oraz czy na pewno wstąpienie innej osoby na opróżniony mandat radnego ma wszelkie skutki nie podlegających weryfikacji wyborów uzupełniających.

Pierwszą przyczynę rodzącą komplikacje stanowi trudna do jednoznacznej interpretacji treść przepisu art.24 f ust.1 ustawy o samorządzie gminnym.

Brzmi on:
Radni nie mogą prowadzić działalności gospodarczej na własny rachunek lub wspólnie z innymi osobami z wykorzystaniem mienia komunalnego gminy, w której radny uzyskał mandat a także zarządzać taką działalnością (lub być przedstawicielem czy pełnomocnikiem w prowadzeniu takiej działalności).

Nie budzi wątpliwości sytuacja, gdy radny na własny rachunek lub łącznie z innymi osobami prowadzi działalność gospodarczą z wykorzystaniem mienia komunalnego gminy. Jednakże zarządzanie działalnością gospodarczą lub bycie przedstawicielem bądź pełnomocnikiem w prowadzeniu takiej działalności, jakkolwiek w przepisie równorzędnie potraktowane z prowadzeniem działalności gospodarczej na własny rachunek budzi szereg uzasadnionych wątpliwości.

Czy prezes spółdzielni mieszkaniowej, spółdzielni lekarskiej, spółdzielni gminnej Samopomoc Chłopska, dyrektor rejonu energetycznego eksploatującego urządzenia energetyczne znajdujące się na gruntach gminnych – jako zarządzający działalnością gospodarczą, a także radcy prawni tego rodzaju jednostek oraz inni pełnomocnicy w prowadzeniu takiej działalności w każdym wypadku naruszają zakaz ustanowiony w art.24 f ust. 1 ustawy o samorządzie gminnym?

Fakt, że celem tego przepisu było przeciwdziałanie korupcji polegającej na wykorzystywaniu funkcji radnego, nie usuwa wątpliwości związanych z pytaniem o czyje korzyści chodzi:

- czy samego radnego,

- czy też jednostki, której jest przedstawicielem bądź zarządzającym, a jeśli tej ostatniej, to, czy chodzi o realną możliwość wykorzystywania funkcji radnego, jeśli tylko da się to wykazać, czy też o teoretyczną i potencjalną możliwość wykorzystywania tej funkcji.

Wątpliwości dotyczące zgodności przepisu art.24 f ust.1 tej ustawy z Konstytucją pojawiają się w dwóch aspektach. Po pierwsze, zgodność tego przepisu z art.2 i art.4 ust.2 Konstytucji istniałaby tylko wówczas, gdyby był on jasny i nie budził żadnych wątpliwości w stosowaniu.

Ponieważ o takiej jasności mówić nie można, to przepis budzący tego rodzaju wątpliwości jest sprzeczny z porządkiem prawnym właściwym dla państwa prawa. Po drugie, przy rozszerzającej wykładni zakresu podmiotowego przepisu– sprzeczność z Konstytucją polega na naruszeniu zasady równości wszystkich wobec prawa (art.32 ust.1), przez potraktowanie niektórych osób wbrew intencjom ustawodawcy.

Mają na uwadze fakt, że żaden argument, na którym Wojewódzki Sąd Administracyjny w wyroku z dn. 7 lipca 2004 roku oparł swe rozstrzygnięcie, nie ma podstawy w przepisach prawa, uzasadniona wydaje się być sugestia, że w tej sprawie sąd winien swe rozpoznanie rozpocząć od zadania Trybunałowi Konstytucyjnemu skonkretyzowanego pytania o konstytucyjność przepisu art.24 f ust.1 ustawy o samorządzie gminnym.

Nie jest bowiem prawdą, że nie mieści się w zakresie tego przepisu sytuacja radnego Józefa S. z uwagi na to, że nie prowadzi on działalności gospodarczej na własny rachunek, natomiast „zarządza działalnością prowadzoną przez osobę prawną, której to działalności art. 24 f ust.1 nie obejmuje". Przepis art.2 ustawy z dnia 19 listopada 1999 roku Prawo działalności gospodarczej następująco określa krąg podmiotów prowadzących działalność gospodarczą: osoba fizyczna, osoba prawna, nie mająca osobowości prawnej spółka prawa handlowego, wspólnicy spółki cywilnej. Wejście w życie ustawy z dnia 2 lipca 2004 roku O swobodzie działalności gospodarczej (Dz. U. Nr 173 poz.1807) spowodowało utratę mocy obowiązującej ustawy Prawo działalności gospodarczej. Przepisy art.2 i 4 obowiązującej ustawy identycznie acz bardziej precyzyjnie regulują krąg podmiotów działalności gospodarczej.

W każdym bądź razie jej przepisy także nie dają podstaw do twierdzenia, że w art.24 f ust.1 ustawy o samorządzie gminy chodzi tylko o działalność gospodarczą osoby fizycznej, a nie osoby prawnej.

Również nie da się obronić argument, że zbliżone do prawa własności prawo użytkowania wieczystego oznacza korzystanie z nieruchomości z wyłączeniem innych osób także właściciela, a w związku z tym zarządzanie działalnością osoby prawnej posiadającej w wieczystym użytkowaniu grunty będące własnością gminy nie mieści się w treści art.24 f ust.1 ustawy o samorządzie gminy. Mająca być podstawą tego argumentu treść powołanego przepisu art.233 kc w zestawieniu z innymi przepisami i w uwzględnieniu normalnych sytuacji życiowych, w gruncie rzeczy przemawia w kierunku przeciwnym. W rozważanym tu zakresie wieczyste użytkowanie tym się różni od prawa własności, że przeniesienie własności definitywnie odrywa dotychczasowego właściciela od rzeczy i uprawnień do niej, natomiast oddanie w wieczyste użytkowanie pozostawia uprawnienia właściciela w granicach wynikających z ustawy, zasad współżycia społecznego i umowy. Umowa ta jednakże może być modyfikowana w zakresie: czasu trwania wieczystego użytkowania- art.236 kc, opłaty rocznej – art.238 kc, sposobu korzystania z gruntu – art.239 kc, rozwiązania umowy przed terminem, bądź jej nie rozwiązania mimo spełnienia się przesłanek z art. 240 kc.

Możliwości te przemawiają za stanowiskiem, że wieczyste użytkowanie gruntu należącego do gminy nie uwalnia od obowiązywania ograniczeń wprowadzonych przez przepis art.24 f ust.1 ustawy o samorządzie gminy.

Niniejsze rozważania nie zmierzają do wykazania, że uchwała rady gminy o wygaśnięciu mandatu radnego Józefa S. była słuszna. Ich celem jest zwrócenie uwagi na trudności interpretacyjne przepisu art.24 f ust.1, tak duże, że w gruncie rzeczy sąd mający rozstrzygać sprawę w zakresie skargi powinien być świadom potrzeby załatwienia zarówno sprawy jak i problemu, jaki treść tego przepisu rodzi, zwłaszcza, że chodzi tu nie tylko o problem trudności interpretacyjnych, lecz także o konsekwencje wynikające z unieważnienia uchwały o wygaśnięciu mandatu w sytuacji, gdy na opróżniony mandat wstąpiła inna osoba. [ ]

** w artykule „Kilka refleksji przed wyborami" („In Gremio" 7/8 z 2005r. str.20 wers 17 od dołu) wkradł się błąd. W skład PKW wchodzi m.in. 3 sędziów Trybunału Konstytucyjnego, a nie, jak napisałem, Trybunału Stanu.*

Golf

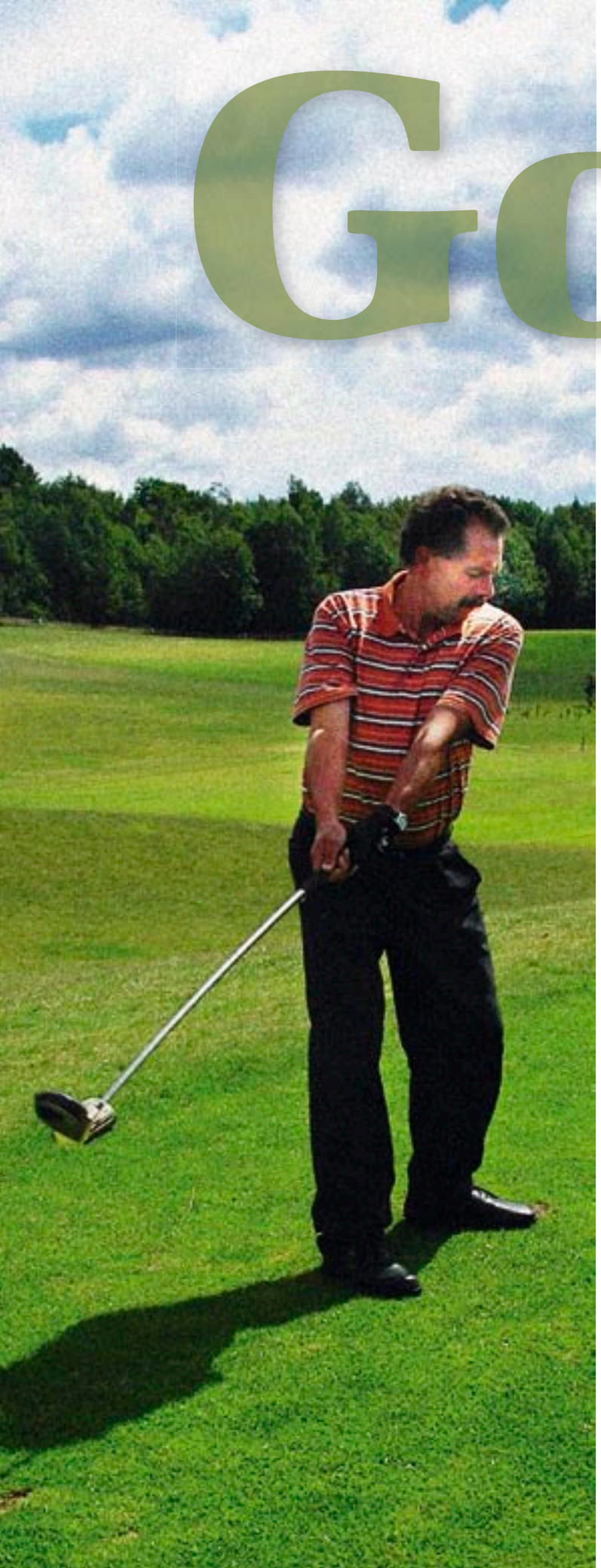

Właściwie wszystko zaczęło się – jak to zresztą często bywa – od przypadku. Prawdę powiedziawszy nie pamiętam już dokładnie kiedy, w każdym bądź razie podczas kolejnego pobytu w Ośrodku Wczasowym Okręgowej Rady Adwokackiej w Niechorzu około 10 lat temu, po pokazaniu dzieciom bliższych i dalszych okolic, po kilku obowiązkowych wizytach z rodziną na padoku Ośrodka Jeździeckiego w Trzęsaczu, trochę znudzony „plażową codziennością" polskiego wybrzeża dałem się skusić jednemu z kolegów zawodowych do egzotycznej – jak mi się wówczas wydawało – wizyty na pobliskim polu golfowym w Łukęcinie. Przyzwyczajony do bardziej dynamicznych form aktywności sportowej, nie mając jeszcze zielonego pojęcia o golfie, z założenia traktowałem tę formę wypoczynku za wyjątkowo nudne zajęcie, kojarząc je bardziej z flegmą charakterystyczną dla Brytyjczyków, niż z godną uwagi dyscypliną sportu, wymagającą od osób ją uprawiających jakiegoś większego wtajemniczenia czy sportowych umiejętności. W tych sceptycznych przekonaniach utwierdziłem się już bezpośrednio na raczej pustawym polu golfowym, stwierdzając, iż wśród licznych rzesz wczasowiczów golf nie wzbudza ani większego zainteresowania, ani – tym bardziej – emocji z zasady towarzyszących sportowi.

Wprowadzenia w zasady gry i pierwszego instruktażu udzielił mi sympatyczny pan Wiesiu sprawujący na polu łukęcińskim – o czym wówczas jeszcze nie wiedziałem – jednoczesne funkcje marschal'a (osoby odpowiedzialnej za porządek na polu) i pro (trenera). Zasady okazały się proste, tym bardziej, że intuicyjnie praktycznie każdy je wyczuwa. Na polu wyznaczone są trasy (fairwey'e) o różnych długościach zakończone dołkami. Istotą gry jest pokonanie całego pola możliwie najmniejszą ilością uderzeń piłki od miejsc poszczególnych startów (tee) do dołków zlokalizowanych na green'ach (placach idealnie – z założenia – przystrzyżonej trawy, na których uderzenia wykonuje się „turlając" piłkę w kierunku dołka). Piłkę uderza się kijami o różnej długości i konstrukcji (tzw. wood'y – dłuższe kije zakończone owalnymi, półkolistymi „główkami", irons – żelazne kije zakończone „łopatkami" o różnych kątach pochylenia i putter – kij do uderzeń kończących grę na green'ie). Na typowych (pełnowymiarowych) polach golfowych o osiemnastu dołkach norma uderzeń (par) wynosi 72. Zbliżenie się do tego wyniku jest marzeniem każdego golfisty amatora. Największe trudności na początku sprawia

[adw. Mirosław Łopatto]

– pasja nie do okiełznania

syna autora obserwuje Gary Player

opanowanie nienaturalnego – jak się wydaje – uchwytu kija. Przed grą wskazane jest (praktycznie zawsze – niezależnie od stopnia wtajemniczenia gracza) wykonanie kilkunastu uderzeń na placu treningowym – tzw. driving range. Właśnie od tego miejsca na polu golfowym w Łukęcinie zaczęła się moja przygoda z golfem. Nigdy wówczas nie przyszło mi na myśl, że właśnie zaraziłem się nieuleczalną chorobą, na którą zapadło już ponad 170 milionów ludzi we wszystkich zakątkach świata. Początek tej przygody był wielce sympatyczny i utwierdził mnie w – jakże złudnym – przekonaniu, że golf nie wymaga jakichś specjalnych umiejętności. Pierwsze uderzenia okazały się bowiem imponująco dobre, do tego stopnia, że mój instruktor sceptycznie przyjmował informację, iż odbywany właśnie trening jest moim pierwszym kontaktem z golfem w życiu. Zachęcony pierwszymi sukcesami na driving rang'u, z pewnością siebie wkroczyłem na pole, przygotowany na rekordowe osiągnięcia. Jakże szybko pole nauczyło mnie pokory, co zresztą w golfie okazuje się być regułą i to niezależnie od stopnia zaawansowania gracza. Wystarczy powiedzieć, że pole, dla którego norma uderzeń (par) przewidziana jest na 30, pokonałem z wynikiem zdecydowanie przekraczającym setkę i to przy bardzo tolerancyjnym liczeniu oddanych rzeczywiście uderzeń. Nie uświadamiałem sobie w owym czasie, iż ta „tolerancja" w liczeniu punktów łamie jedną z podstawowych zasad golfa, sprowadzającą się do bezwzględnej uczciwości we wszystkich elementach gry, w szczególności zaś przy liczeniu oddanych uderzeń. O tym jak duże znaczenie w golfie ma owa uczciwość, najlepiej świadczy fakt, iż jest to jedyny sport, w którym przepisy (nota bene komentowane w publikacjach porównywalnych swoją objętością z komentarzami naszych podstawowych kodeksów) rozpoczyna rozdział dotyczący etykiety, traktowanej jako po prostu przyzwoite zachowanie.

„Wirus golfa" nie dotknął mnie natychmiast po pierwszym z nim kontakcie. Długo jeszcze traktowałem golfa jedynie jako w miarę sympatyczne uzupełnienie pobytów nad morzem i dodatkową formę urozmaicenia czynnego wypoczynku. „Zaraza" przyszła zupełnie nieoczekiwanie. Namówiony przez czynnego i aktywnego zawodnika, wielokrotnego mistrza adwokackiego golfa – kolegę Longina Tadeusza – do udziału w Mistrzostwach Polski Adwokatów w Golfie IV edycji w roku 2001, niespodziewanie – przede wszystkim dla samego siebie – zająłem 3 miejsce w tych zawodach. Wychodząc z założenia, że sukces zobowiązuje, coraz częściej zacząłem odwiedzać zielone łąki i bezdroża w poszukiwaniu golfowego szczęścia. Dodatkową inspiracją dla tej aktywności stały się sukcesy syna, który swoją karierę golfową zaczynał jako mój caddie (pomocnik gracza), by w krótkim okresie zdobyć nominację na członka kadry juniorów Polski. Z czasem argument o potrzebie odbycia treningu przez syna zaczął stanowić najlepszą „przykrywkę" wobec zrozumiałego buntu żeńskiej części rodziny – w szczególności – żony. Niestety golf pożera wolny czas, o którego nadmiarze w zawodzie adwokata nie sposób nawet myśleć. Z oczywistych względów dotyka to rodziny i dlatego zawsze z szacunkiem trzeba podkreślać wyrozumiałość, z jaką nie grające w golfa żony golfistów okazują pasji mężów. A pasji tej – gdy się jej już raz ulegnie – nie sposób zaniechać. Pochłonie ona każdego, kto nieopatrznie zacznie „machać kijem", niezależnie od wieku, płci, umiejętności i stanu konta. Trudno dzisiaj znaleźć miejsca, gdzie z dala od zgiełku cywilizacji i bełkotu polityków można zupełnie zapomnieć o niedostatkach i ułomnościach codzienności. Nie sposób też znaleźć inną dyscyplinę sportu, która jak golf pozwoli jej sympatykom na wielogodzinne obcowanie ze wspaniałą naturą, przy jednoczesnym zmaganiu się z własnymi słabościami.

Z niezrozumiałych względów w powszechnej opinii golf traktowany jest jako elitarna dyscyplina sportu, dostępna wyłącznie dla snobów o wyjątkowo wysokich dochodach. Pokutują tutaj niczym nie uzasadnione przekonania ukształtowane w latach minionej epoki, kiedy golf kojarzono z najgorszymi symbolami kapitalizmu. Tymczasem na całym świecie dostrzegalna jest prawdziwa eksplozja golfa, który stał się najbardziej dynamicznie rozwijającą się dyscypliną sportową na świecie. Najdobitniej świadczy o tym przykład Chin, gdzie w okresie ostatnich 5 lat wybudowano ponad 2000 (jak twierdzi mój bywały w świecie partner, po powrocie z wyprawy na Daleki Wschód) pełnowymiarowych pól golfowych. Również bezpodstawne są przekonania o wysokich

kosztach związanych z uprawianiem golfa, które w rozliczeniu rocznym nie odbiegają od innych – na razie zdecydowanie powszechniejszych – dyscyplin, jak – by poprzestać na przykładach – narciarstwo, tenis czy myślistwo.

Mimo niewątpliwego opóźnienia, z jakim moda na golfa przebija się do Polski, Pomorze Zachodnie traktowane być może jako swoiste zagłębie golfowe. Obok wspomnianego, dziewięciodołkowego pola golfowego w Łukęcinie, na którym pierwsze kroki stawiało bardzo wielu szczecińskich golfistów, miłośnicy golfa mogą oddawać się swojej pasji na dwóch uroczych, pełnowymiarowych i niezwykle wymagających polach w Binowie (na skraju Puszczy Bukowej) i w Kołczewie (w rejonie Wolińskiego Parku Narodowego). W nieodległej przyszłości spodziewać się można uruchomienia kolejnego – promowanego przez wybitnego golfistę Gary'ego Player'a – pola w okolicach Choszczna. Każde z tych pełnowymiarowych pól jest w stanie zadowolić najbardziej wymagających golfistów, nic zatem dziwnego, że na polach tych odbywają się systematycznie zawody rangi ogólnopolskiej.

Golf jest chorobą atakującą totalnie. Zarażeni jego wirusem nie znajdują antidotum mogącego zapobiec pasji, zrozumiałym więc jest, że z czasem pasja ta przeradza się w styl życia. Nigdy wcześniej nie pomyślałbym, że o rozegranej z kolegami partii golfa można rozprawiać godzinami, analizując każde z oddanych uderzeń. Jest to zresztą charakterystycznym elementem kultury golfowej i wśród graczy określane jest mianem dziewiętnastego dołka, kończącego zawody niekiedy w późnych godzinach nocnych. Rozmiar zaangażowania graczy najlepiej oddaje dowcip, w którym zapalony golfista niespodziewanie dla partnera zatrzymuje się podczas rozgrywanej partii i – zastygając w bezruchu – pochyla się spoglądając w kierunku przechodzącego w oddali konduktu pogrzebowego. Gdy z zaskakującej zadumy wyrywa go zniecierpliwiony partner, zwracając mu uwagę, że nie może wstrzymywać gry na polu, w odpowiedzi słyszy:

„wybacz, musisz wszakże zrozumieć, że przeżyłem z nią ponad czterdzieści lat".

Imponujący jest uniwersalizm golfa. Dyscyplinę tę można z sukcesami uprawiać od wczesnego dzieciństwa do późnej starości, przy czym obojętny jest wiek, w którym następuje golfowa inicjacja. Dla wyrównania szans golfistów o różnych umiejętnościach, niektóre systemy liczenia uderzeń dają przywileje osobom o niższym stopniu wtajemniczenia. W golfie amatorskim każdemu z graczy przydzielany jest tzw. handicap, będący w istocie parametrem określającym umiejętności golfisty i wyrażony wartością od 0 do 36/40 (panowie/panie). Zmian tej wartości dokonuje komisja handicapowa, uwzględniając wyniki osiągane przez gracza. Punktem honoru każdego golfisty amatora jest możliwie najszybsze zmniejszenie przyznanego handicapu. W systemie liczenia wyników netto norma uderzeń dla każdego gracza określana jest przez dodanie wartości handicapu do normy uderzeń przewidzianej dla pola. O umiejętnościach gracza świadczą wyniki określane w systemie brutto (liczona ilość rzeczywiście oddanych uderzeń) i największe emocje towarzyszą zawodom rozgrywanym w tej formule.

O golfie można by rozprawiać bez końca. Dla wielu podobne rozważania będą niezrozumiałe do czasu, gdy sami nie przystąpią do rywalizacji na zielonych, bezkresnych obszarach. Jedno jest pewne – jest to dyscyplina, którą – jak żadną inną – można się pasjonować, aktywnie ją uprawiając bez szkody dla zdrowia, praktycznie przez całe życie. Żałować można tylko, że w gronie szczecińskich prawników, których przedstawiciele odnosili wielokrotnie spektakularne sukcesy na golfowej niwie, bardzo wolno przybywa zwolenników golfa. Dotyczy to przede wszystkim młodych adeptów wiedzy prawniczej, którzy – jak dotychczas – z przymrużeniem oka traktują pasję starszych kolegów zawodowych.

Czas chyba kończyć, tym bardziej, że kije już spakowane, a za spóźnienie na start grożą dwa karne punkty. [ ]

Okręgowa Rada Adwokacka w Szczecinie oraz bezpośredni organizatorzy VIII Mistrzostw Polski Adwokatów w Golfa – w osobach adw. Longina Tadeusza, Mirosława Łopatto i Michała Krzyżankiewicza – składają serdeczne podziękowania zarządom firm:

- ***„Jokey Plastik Blachownia" Sp. z o.o. w Kędzierzynie – Koźlu,***
- ***Fabryka Farb i Lakierów „Śnieżka" SA w Brzeźnicy,***
- ***Wydawnictwo Prawnicze „LexisNexis" w Warszawie,***
- ***„Andreas" Sp. z o.o. w Szczecinie,***
- ***„Partner" Sp. z o.o. w Szczecinie***

za pomoc i zaangażowanie włożone w organizację zawodów.

Mehr Licht!

[Marcin Lorenc]
Prokurator Prokuratury Okręgowej w Szczecinie

Niedawno uświadomiłem sobie, że nie jestem typowym prokuratorem. Nie mam kłopotu z tożsamością. Zdarzyło mi się składać wnioski o wymierzenie oskarżonym kary nadzwyczajnie złagodzonej, a nawet o uniewinnienie. Na sali sądowej zadawałem świadkom, biegłym i oskarżonym pytania po to, aby poznać i zrozumieć racje osoby, której zarzucono popełnienie przestępstwa. W mowach końcowych przed sądem nie ograniczałem się wyłącznie do sentencji „wina oskarżonego nie budzi żadnych wątpliwości...” Dzieliłem się moimi wątpliwościami z innymi prokuratorami przed podjęciem niełatwych decyzji o umorzeniu postępowania. Przepraszałem adwokata, gdy ilość lub rodzaj obowiązków nie pozwalał mi na rozmowę z nim. Tymczasowe aresztowanie nie było jedynym znanym mi środkiem zapobiegawczym. Nie ujawniłem nigdy niepowołanym osobom okoliczności sprawy, które poznałem w związku z wykonywanym zawodem. Takich cech nie posiada typowy prokurator. Przynajmniej według adw. D.J. Babskiego.

Artykuł „zielonego” o „czerwonych” zamieszczony w kwietniowym „In Gremio” zawiera wprawdzie na samym początku zastrzeżenie o ogólnikowości twierdzeń przeobrażających się w ich fałszywość, jednak nie podejrzewam Autora, iż zabieg ten zastosował wyłącznie po to, aby nadmiar słów o „czerwonych” nie był mu poczytany za przejaw deficytu umysłowego. Dlatego odrzuciłem początkowy zamiar zmierzenia się w sposób konkretny z zarzutami „zielonego” wobec „czerwonych”. W ten sposób potwierdziłbym przecież, iż świat „czerwonych” kreowany przez D.J Babskiego rzeczywiście istnieje, a tylko paru nietypowych prokuratorów nie przystaje do niego. Nie będę przekonywał mecenasa Babskiego, że struktura prokuratury oraz rola prokuratora w procesie karnym różni się cokolwiek od zadań adwokata w tymże postępowaniu. Nie będę naigrywał się z często słyszanego z przeciwnej strony sali sądowej sentencjonalnego „wnoszę o uniewinnienie....” w sytuacjach, gdy oskarżony zaprzecza istnieniu ręki, za którą złapano go podczas kradzieży. Ja wiem, że dwóm panom służyć nie można. Myślę, że wie to i mecenas Babski, a tylko ze swawoli zatracił ostrość postrzegania pewnych zależności.

Drzwi adwokata wybiera klient (lub prezes sądu) i klient ten ma prawo oczekiwać, że adwokat będzie działał w jego interesie, a zatem również nie będzie obalał jego linii obrony. Ja mam swoich przełożonych i wiem, że wraz z nimi i innymi prokuratorami stanowię prokuraturę, której zadaniem jest strzeżenie praworządności oraz czuwanie nad ściganiem przestępstw. Czasem trzeba zaufać, że droga do osiągnięcia tych celów może być inna niż ta, którą upatrzył sobie prokurator zmagający się z konkretną sprawą na pewnym jej etapie. Tak jednak funkcjonuje prokuratorska maszyna, jej tryby muszą ze sobą współgrać.

Podobno jak nas widzą, tak nas piszą. Może zatem to ja, nietypowy prokurator, nie zauważam zgrzytów w maszynie. Byłbym hipokrytą przekonując teraz, że nie ma maszyn nie psujących się. Często przekonałem się również, że instrukcje obsługi tej maszyny zmieniają się wraz z jej głównymi mechanikami. Odrzucić jednak trzeba metafory, które podobnie jak uogólnienia, prowadzić mogą w ślepy zaułek. Łyżka dziegciu przybiera wymiar konkretny. Prokurator jako organ prokuratury realizować musi określone funkcje tej instytucji. Nie zawsze jest to wdzięczne zadanie, bo prokurator nie jest z tego powodu zwolniony od myślenia i nie traci poczucia obiektywizmu, jak to się wydaje adw. D.J. Babskiemu. Bardzo często prokurator występuje jako rzecznik oskarżenia publicznego w sprawie, której nie przygotowywał, gdy znajdowała się na etapie postępowania przygotowawczego. Ze względów czysto technicznych trudno jest wymagać od sędziego, aby tak układał wokandę, żeby znalazły się na niej jedynie sprawy przygotowane przez jednego prokuratora. Z tychże samych powodów

podczas jednej wokandy obecny jest jeden prokurator a nie tylu, ile spraw wyznaczono na wokandzie. Nieraz w związku z tym zdarzyło mi się zastanawiać nad przyjętą kwalifikacją prawną czynów i przebiegiem zdarzeń ujętych w zarzuty. Czy powinienem wówczas, gdy nadchodził czas wygłoszenia mowy końcowej wstać i powiedzieć: „Ja, Wysoki Sądzie, tak bym tej sprawy nie poprowadził, a wymiar kary, którego za chwilę będę się domagał, jest w zasadzie wnioskiem innego prokuratora". Nie wątpię, że obrońca i oskarżony zatarliby wówczas ręce, chwaląc mnie pod niebiosa. Niedorzeczne? Nie, jeśli przyjąć za konieczne do spełnienia postulaty zawarte w artykule D.J. Babskiego. Siłą prokuratora nie powinien być wyłącznie jego obiektywizm. Siłą prokuratora jest jednolitość prokuratury, która sprawdza się między innymi w sytuacjach, gdy inny prokurator popiera oskarżenie. Obiektywizm to walor i siła przede wszystkim sądu. Skoro postępowanie przed sądem oparte jest na zasadach kontradyktoryjności, nie wymagajmy od naszych adwersarzy, aby przyjęli nasz punkt widzenia na sprawę. Czyżby zawsze obrońcy byli przekonani o niewinności swoich klientów? A jeśli nie są i przekonują sąd, że oskarżony jest niewinny? Czy wówczas brakuje im obiektywizmu?

W sposób jak najbardziej subiektywny chciałbym również odnieść się do dziesięciocentymetrowych wypowiedzi, w których celować mają zwłaszcza ci prokuratorzy, którzy występują przed sądem odwoławczym. Może nie zawsze tylko długość wypowiedzi przed sądem ma znaczenie dla wymiaru kary. Na pewno nam „czerwonym" byłoby wtedy łatwiej – im dłuższa mowa, tym większa kara. Jednak jak ocenić wówczas długość mów „zielonych"? Myślę jednak, że nie gadulstwo powinno przekonywać o naszych racjach, lecz konkretne argumenty, tym bardziej, że te pozostają również na papierze.

W artykule, który „zielony" zadedykował „czerwonym", sporo miejsca poświecił on również (podświadomie?) „fioletowym". To oni wszakże decydują o tym, czy klienci „zielonych" po wiadomym posiedzeniu sądu cieszyć się będą wolnością. Należę już do pokolenia prokuratorów, którym nigdy nie było dane podpisać się pod postanowieniem o tymczasowym aresztowaniu. I dobrze. Taka decyzja, jako godząca w jedno z najważniejszych dóbr człowieka, powinna pozostawać wyłącznie w rękach sądu. Skąd zatem ten żal Pana Mecenasa, że prokuratorzy składają wnioski o zastosowanie lub przedłużenie tego środka? My, prokuratorzy (ci typowi i ci nietypowi), zawsze musimy pamiętać, że proces karny nie kończy się w momencie skierowania do sądu aktu oskarżenia. Wtedy właśnie proces - jako spór dwóch równorzędnych stron - dopiero się zaczyna. To nie prokurator wszakże osądza oskarżonego, jak zdawałoby się po lekturze „zielonego" o „czerwonych". Jeżeli zatem linia obrony podjęta przez podejrzanego lub inne okoliczności czynu wskazują, że nie będzie on ze stoickim spokojem oczekiwał wyroku w swojej sprawie, czy wówczas w imię domniemania jego niewinności przedkładać jego wolność nad zło, którego wyrządzenie mu się zarzuca? Daleki jestem od wielce ryzykownej tezy, że areszty służą za formę zmiany stanowiska podejrzanego. Czyżby niezawisły sąd, jak inkwizytor, dochodził w ten sposób prawdy obiektywnej? Wiem natomiast, bo miałem tego przykłady, że nie zastosowany przez sąd areszt służyć może zmianie stanowiska. Ale pokrzywdzonego. Ta strona postępowania przygotowawczego też ma swoje prawa. Napadnięty czy dotkliwie pobity człowiek nie powinien zastanawiać się nad tym, czy jego oprawca będzie czekał spokojnie na wyrok i karę, czy też ta perspektywa nie będzie mu miła i będzie starał się nie dopuścić do osądzenia sprawy. Moim obowiązkiem - jako „czerwonego" - jest dostrzeżenie takich sytuacji w rozpoczynającym się przecież dopiero postępowaniu. Jeżeli chodzi o długotrwałość postępowań przygotowawczych, w których stosowane jest tymczasowe aresztowanie, polecam adw. D.J. Babskiemu lekturę może mało intrygujących, ale jakże miarodajnych zestawień statystycznych w tym zakresie. Ja również publicznie, jednak w oparciu o konkretne przesłanki, stawiam tezę, iż śledztwa takie przez prokuratorów traktowane są priorytetowo.

Oprócz „czerwonych", za stosowanie tymczasowego aresztowania odpowiadać mają również środki masowego przekazu. To dziennikarze przecież naciskają na sądy, aby bezwzględnie zamykali w aresztach wskazanych przez nich podejrzanych. Są jednak tylko narzędziem w rękach prokuratorów, którzy docierają do nich, aby za ich pośrednictwem tłumić niezawisłość sądów. Jest mi doprawdy przykro, że członek szczecińskiej palestry formułuje tak poważne zarzuty, nie ujawniając żadnego ich uzasadnienia. Oczywiście adw. D.J Babski może postrzegać pracę dziennikarzy tak jak mu się podoba. Zapatrywania te to prywatna sprawa każdego z nas. Zanim wypowie się publicznie swój pogląd nie poparty żadnymi rzeczowymi argumentami, warto zastanowić się jednak, czy obrażanie w ten sposób sędziów i prokuratorów przysłuży się w jakikolwiek pozytywny sposób wszystkim prawnikom i osobom, których nasza praca dotyczy. Ileż razy to właśnie sędziowie i prokuratorzy stawali się czarnymi bohaterami mediów z powodu złej – w dziennikarskiej ocenie – decyzji. Dla przykładu wskażę tylko, że nie tak dawno temu byliśmy świadkami medialnej dyskusji spowodowanej właśnie uchyleniem tymczasowego aresztowania wobec podejrzanych przez prokuratora w Myśliborzu. Z kim zatem trzymają dziennikarze?

Jak na ironię w majowym „In Gremio" kolejny artykuł adw. D.J. Babskiego zakończony był apelem o wzajemny szacunek. Chciałbym wierzyć w szczerość tego apelu, ponieważ gorąco go popieram. Krytyka, a nie drwina może tylko pomóc naszemu środowisku. Ale niech to będzie krytyka uczciwa i odpowiedzialna. Więcej opamiętania i rzeczowych argumentów a mniej pustych gestów. Inaczej ktoś na końcu zapyta nas retorycznie: „Z kogo się śmiejecie?..." [ ]

HONDA
The Power of Dreams

HONDA **CR-V** i-CTDi PIERWSZY **SPORTOWY** DIESEL

Honda CR-V i-CTDi dostępna również w wersji z homologacją ciężarową. Pełny odpis VAT.

NAPĘDZA WYOBRAŹNIĘ

Polmozbyt Szczecin Sp. z o.o. 70-562 Szczecin, pl. Orła Białego 10 www.honda.szczecin.pl
Dział sprzedaży samochodów tel. (0-91) 433 65 02 e-mail: salon@honda.szczecin.pl
Dział serwisu i części zamiennych tel. (0-91) 433 51 42 e-mail: serwis@honda.szczecin.pl

Jestem winny?

(Karolince)

Po przeczytaniu kilku artykułów w In Gremio, gdzie wyrażane przeze mnie różnego rodzaju uogólnienia stanowiły przedmiot krytyki ze strony M. Weissgerbera, M. Strączyńskiego i J. Gurgula, odniosłem wrażenie, że moje uogólnienia, co do zasady, nie spotkały się, eufemistycznie rzecz ujmując, z akceptacją. Choć nie wszystkie, nie wszystkie!

Chciałem zbyć milczeniem powyższe uwagi krytyczne, ale pomyślałem sobie, że moi wielbiciele, a może nawet wielbicielki, których nie mam zanadto, będą się czuli zawiedzeni, że milczę. Chciałem przekonywać Ich, że milczenie jest złotem, że karawana i tak idzie dalej, że już Cz. Miłosz pisał, „Im więcej razy jesteś na dzień znieważany...", że dając ewentualny odpór stawianym zarzutom, uznaję moich krytyków za „godnych" słowa itd., itd. Ostatecznie uznałem, że milczenie jest formą uznania czyichś racji. Uznałbym je, gdybym widział ku temu podstawy.

Na wstępie przypomnę, że każdy artykuł z serii „Trzech kolorów", poprzedzony był uwagą ogólną, że każde twierdzenie, im ogólniejsze, tym fałszywsze. Uwaga ta miała chronić mnie przed ewentualnymi atakami. Cóż. Jeżeli kogoś obraziłem, to przepraszam. Nie było moim zamierzeniem kogokolwiek urazić czy też obrazić. Tym niemniej, jeżeli ktoś poczuł się urażony, to niech się zastanowi, czy jest coś w powiedzeniu: „uderz w stół, a nożyce się odezwą" (biorąc za punkt odniesienia wskazane powiedzenie, najlepiej zaprezentowali się sędziowie - moje krytyczne uwagi nie spotkały się z Ich krytyką).

Każde twierdzenie, o ile miało swój krytyczny wydźwięk, jestem w stanie poprzeć szeregiem przykładów. To one, te złe przykłady, rzutują na społeczną ocenę pracy każdej grupy zawodowej. Łyżka dziegciu może...

Zacznę od „Tako rzecze D. J. Babski". Pomijam styl, który zdradza brak „dobrego smaku", ale zionie z niego coś, co nazwałbym, delikatnie rzecz ujmując... niezrozumieniem. Mój adwersarz krytykuje zajadle niemal każde moje zdanie, (to dobre prawo mieć możliwość krytykowania), ale dopuszcza się manipulacji, na którą jestem, być może jak mało kto, uczulony. Wbrew temu, co pisze M. Weissgerber, wcale nie w sposób szczątkowy odniosłem się do adwokatury i adwokatów. Przedstawiłem, przez pryzmat idei ogólnych, potrzebę dostosowania się adwokatury do wymogów czasu. Przyjęcie za passus twierdzenia, że „brak wiedzy społecznie użytecznej dyskredytuje potrzebę naszego istnienia", to przejaw braku wiedzy o zjawiskach społecznych, których miarą jest utylitarne (wprost: utylizujące) rozwiązywanie problemów życia społecznego. Adwokat, który nie jest w stanie nieść pomocy prawnej, który nie nadąża za zmianami, powinien się zastanowić, czy nie „ustąpić" miejsca oczekującym. Niestety, Panie Mecenasie, miarą naszej społecznej użyteczności jest to, czy mamy, czy też nie mamy klientów. Klienci nie lubią przegranych. Idą tam, gdzie mogą uzyskać rzetelną ocenę swoich szans. Między nami są lepsi i gorsi. *„Kiedy się gra w piłkę, obaj gracze grają tą samą piłką, ale jeden mierzy nią lepiej." (B. Pascal)*. Ten jest lepszym adwokatem czy też radcą prawnym, którego wnioski procesowe mają ostatecznie wyraz w treści orzeczenia.

Z artykułu M. Strączyńskiego, „Wszystkie nasze kolory" dowiedziałem się, że jestem bojowy. Podtrzymuję swe stanowisko co do potrzeby uwzględniania wniosków obrońców, gdy punktem odniesienia jest faktyczna niemożność uczestniczenia w dwóch sprawach jednocześnie. Nawet pobieżna lektura art. 738 kc nakazuje przyjąć, że obrońca, jako przyjmujący zlecenie, m o ż e powierzyć wykonanie zlecenia osobie trzeciej (substytutowi), tylko wtedy, gdy wynika to z umowy lub zwyczaju albo gdy jest do tego zmuszony przez okoliczności. Tak tak. Tylko wtedy, gdy... Zresztą, idąc do wybranego lekarza... nie idę do jego kolegi. To umiejętności wybranego obrońcy, a nie umiejętności jego kolegi, choćby były obiektywnie na wyższym poziomie, zdecydowały o tym, że to ja, a nie mój kolega zostałem wybrany do spełniania funkcji obrońcy. Proszę uszanować wolę podsądnego. Wybrał mnie i ja mam go bronić. Basta. Ponoć w artykule o prokuratorach, wg M. Strączyńskiego, zdradziłem poczucie wyższości. Jeżeli tak zostałem odebrany, to, trawestując zdanie M. Strączyńskiego: za poniżonych „autor odpowiedzialności nie ponosi". Byłbym „cacy", gdybym wykazał się uniżonością. Podzielam to stanowisko, które wypowiedział sędzia M. Strączyński: oskarżeń nie wolno rzucać bez podstaw. Moje „gazetowe zarzuty" co do oddziaływania środków społecznego przekazu na orzecznictwo w zakresie stosowania tymczasowego aresztowania, mają wymiar spekulacyjny. Przyznaję się do tego. Ale czemu ma służyć „wyciek" pochodzący od ABW, policji czy też z prokuratury, gdy sprawa idzie na areszt albo zastosowano już pierwszoinstancyjnie areszt. Skąd dziennikarze mają informacje, że „zapowiedziane są dalsze zatrzymania i aresztowania"? Skąd – w pewnej sprawie - dziennikarz Gazety Wyborczej wiedział o zmianie sędziego przed dokonaniem zmiany? Poziom uzasadnień postanowień o zastosowaniu i „przedłużeniu" tymczasowego aresztowania jest nie do zaakceptowania. Niemal same frazesy. A przecież każda decyzja o pozbawieniu człowieka wolności powinna indywidualizować

przesłanki takiej decyzji. Gdyby nie sąd odwoławczy, skuteczność wniosków prokuratorskich byłaby niemal stuprocentowa (bezwiednie nachodzi mnie znowu Cz. Miłosz ze swoim mottem do „Zniewolonego umysłu"). Krytyka mojego wystąpienia o adwokatach jest o tyle uzasadniona, gdy za punkt wyjścia weźmie się stosunki adwokatów z sądami i prokuratorami. Ale nie o tym chciałem pisać i nie o nich pisałem (nie jest tak źle). Napisałem, że... nie można być bufonem tylko dlatego, że jest się adwokatem. Nie widzę nic zdrożnego w pisaniu o honorariach i konkurencji zawodowej. Nie widzę nic złego w pisaniu o wynagrodzeniach sędziów w kontekście zarobków adwokatów. Zresztą, wywody M. Strączyńskiego o zarobkach sędziów w kontekście naszych „marnych" 420,00 zł (w tym VAT) za urzędówkę apelacyjną, nakazują większą roztropność w formułowaniu zarzutów co do wysokości naszego wynagrodzenia (kwota 420,00 zł to niemal połowa „najniższego miesięcznego wynagrodzenia", na które pracuje się 20 dni w miesiącu!). Jeżeli artykuł M. Weissgerbera ma coś wspólnego z umiarkowaniem, to muszę przyznać, że jestem zaskoczony taką oceną płynącą z ust, bądź co bądź, uznanego sędziego. Ale niech już tak będzie, że to ja jestem „be", że to ja jestem winien, a wszyscy są „cacy". Na koniec, dziękuję M. Strączyńskiemu za obronę czystości języka i poddanie miażdżącej krytyce uwag J. Gurgula co do mojej znajomości zasad pisowni rzeczowników odczasownikowych z partykułą „nie". Cóż. Czasy się zmieniają, a wraz z nimi zasady pisowni i myślenia.

Jeszcze przed opublikowaniem „Nie szydźmy, lecz rozmawiajmy o Trzech kolorach" autorstwa dr. Józefa Gurgula, dowiedziałem się, że moje wystąpienie o „czerwonych" spotkało się z prokuratorską krytyką. Czekałem z niecierpliwością. I, przyznam, było warto. Mam prawo mieć o sobie dobre zdanie, nawet, gdyby nie było ono w pełni zasadne. Nie mam obowiązku szczerze przyznawać się do osobistych słabości (choć, gdy to uczyniłem pisząc, że wzrok mam słaby, zostało to skrzętnie wykorzystane przez M. Weissgerbera). Tym niemniej zauważam, że to nie ja oskarżałem publicznie Z. Marchwickiego o czyny, których nie popełnił (a pieśń gminna niesie, że nie każdy zarzut zabójstwa się ostał). Moje pomyłki, nawet ortograficzne, nie mają wymiaru ostatecznego. Mam prawo, jako człowiek (?), obywatel tego pięknego kraju, nie tyle co prosić, ale krzyczeć i żądać, aby osoby piastujące różnego rodzaju funkcje państwowe, w tym: sędziowie i prokuratorzy, nigdy się nie myliły. Ich pomyłki, to morze łez. Cieszę się, że kilka moich wystąpień, kilka moich rewizji i apelacji, kilka moich kasacji, o ile nie uchroniło, to w każdym razie pomogło uchronić kilku nieszczęsnych ludzi od omyłek sądowych zainicjowanych aktami oskarżenia (ciekawi mnie, czy Autor polemiki, sporządził kiedykolwiek środek odwoławczy na korzyść podsądnego). Rozważając o nieszczęściu skrzywdzonych przez państwo, a tych, nie jest wcale tak mało, warto chociaż raz wyobrazić sobie, że każdy z nas może stanąć w rzędzie pokrzywdzonych. Nie kpię sobie z prokuratorów, uznaję potrzebę ich istnienia. Służą. Zarzucane mi obrzydzenie mające towarzyszyć mojemu poczuciu wyższości nad prokuraturą to zwykła inwektywa. To, co zarzuca mi Autor, a mianowicie ignorancję psychologii i erystyki, a nadto, co mnie szczególnie ubodło, brak szacunku do oponenta, nie wiadomo z czego się bierze. Na marginesie zauważam, że szacunku nie można zadekretować, a tego, zdaje się, żądają funkcjonariusze każdego kraju, nawet ci, którzy są w stanie spoczynku i już nie służą (proszę mnie nie zmuszać do szacunku). Zdania o tymczasowym aresztowaniu nie zmienię. Jest ono nadużywane. Często służy „zmiękczaniu" osadzonego, zmianie jego procesowej postawy (ostatnio jeden z moich klientów zadał mi dramatyczne pytanie: „Co mam powiedzieć, aby wyjść na 60-tkę ?). Nie jest małostkowością pisanie o „10-centymetrowych przemówieniach" prokuratorów drugoinstancyjnych czy też o „ociekającej stróżce czerwieni". Pisanie o tym jest żądaniem o zachowanie powagi i godności „urzędu prokuratorskiego", walką z ambicją i statystyką, która przyćmiewa, raz po raz, prawdziwe oblicze sprawy. Zarzucany mi protekcjonalizm, być może, ma swoje źródło w dążeniu do nazywania rzeczy po imieniu. Z jakiej racji mam szukać odcieni szarości, kiedy ponosi mnie „idea bieli" ? Ja nie chcę być tak mądry, jak dr Józef Gurgul.

Gratuluję dobrego pióra Marcinowi Lorencowi, prokuratorowi Prokuratury Okręgowej w Szczecinie. Zastanawiające jest to, że tytułowa potrzeba światła Goethego (1749-1832), została wyrażona przez starca na łożu śmierci. Tuż przed zamknięciem oczu, przed snem, który trwa do dzisiaj.

Jestem adwokatem. Nie tylko sędzia ma prawo mówić, co sam myśli i robić to, co uważa za słuszne. Tkwię na scenie, gdzie krzyżują się często sprzeczne interesy indywidualne i zbiorowe. Istnienie wymiaru sprawiedliwości, tego teatru grozy, jest wyrazem istniejących stosunków społecznych (kto kogo?). To właśnie w sądzie, jak w szkle powiększającym, możemy dostrzec obraz, cały przekrój tych stosunków. Nie zmienię ich. Tak, jak nie zmienię kierunku biegu lawiny. Mogę jedynie, i o to walczę, złagodzić jej dzikość.

Taki jestem, taki chcę być, a reszta ?
Cóż, a reszta niech...

[Dariusz Jan Babski]
adwokat

Kłopotliwa pamiątka

[Paweł Szulc]
Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Szczecinie

Od pewnego czasu jest numerem jeden w Stargardzie Szczecińskim. Mieszkańcy rozmawiają o nim na ulicach, internauci sprzeczają się na forach dyskusyjnych, a urzędnicy dostają dziesiątki pism. W jego sprawie interweniuje Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Polskie Stowarzyszenie Patriotyczne „Kontra 2000", Młodzież Wszechpolska, a także Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność" Pomorze Zachodnie. W rozwiązanie problemu zaangażowano prezydenta Stargardu Szczecińskiego, Starostwo Powiatowe, stargardzką prokuraturę, Zachodniopomorski Urząd Wojewódzki, Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, a także ambasadę rosyjską. Wszyscy poszukują odpowiedzi na pytanie, co zrobić z Pomnikiem Zwycięstwa usytuowanym na Placu Wolności w Stargardzie Szczecińskim. Bez skutku...

Stargard Szczeciński został zdobyty 5 marca 1945 roku. Tajemnicą pozostaje, ilu żołnierzy zginęło podczas walk zarówno po stronie niemieckiej jak i radzieckiej. Niewiele jest też informacji, co działo się w mieście między marcem a majem 1945 roku. Z relacji przymusowych robotników i jeńców wojennych wynika, że podobnie jak w innych miejscach na Pomorzu Zachodnim żołnierze radzieccy zachowywali się jak „prawdziwi zdobywcy" niszcząc, łupiąc i świętując zwycięstwo.

Bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych na dzisiejszym Placu Wolności (wcześniej Stalina) na podwyższeniu żołnierze radzieccy ustawili czołg. Na początku czerwca w tym miejscu rozpoczęto budowę obiektów upamiętniających żołnierzy 61 armii i 2 armii pancernej 1 Frontu Białoruskiego poległych w walkach na ziemi stargardzkiej. W skład kompleksu wchodził Pomnik Zwycięstwa, Pomnik Poległych Bohaterów Związku Radzieckiego i oficerski cmentarz. Ten niezwykły, bo pierwszy na taką skalę na ziemi szczecińskiej, zespół obiektów upamiętnienia postawiony wśród ruin zniszczonego Stargardu (około 70% zniszczeń w mieście) został oddany Polakom 13 listopada 1945 roku. W tym dniu Naczelnik Budownictwa Pomników w ówczesnym Starogrodzie, major W.T. Szegurow, przekazał w obecności przedstawiciela wojennej komendantury miasta, majora Rozina, przedstawicielom magistratu miasta – burmistrzowi Stanisławowi Tuchołce i wiceburmistrzowi Helenie Zybułtowskiej - zespół obiektów. W podpisanym akcie ustalono, że strona polska wyasygnuje pewną sumę na utrzymanie ogrodnika opiekującego się nagrobkami, pomnikami oraz przylegającą do nich zielenią. Polacy zobowiązali się również do wyznaczenia stałego posterunku milicji zabezpieczającego wymienione obiekty.

Autorem projektu, kontrowersyjnego dziś Pomnika Zwycięstwa, był kapitan L.W.Miziencew. Nie było to jego jedyne dzieło, choć należy przyznać, że właśnie to okazało się być najbardziej znanym. Zaprojektował on też, ale już znacznie mniejszy, Pomnik Zwycięstwa w Choszcznie. Tam zresztą miał swoją pracownię, w której wykonywano odlewy do stargardzkiego pomnika.

Pomnik jest imponujący. Zbudowany został w formie kolumny, na wzór iglicy, która zwęża się uskokami ku górze i liczy 23 metry wysokości. Jako materiału budowlanego użyto żelazobetonu i ozdobiono go kamiennymi płytami. Pomnik usytuowany został na kopcu ziemnym na planie koła. Na dole umieszczono płaskorzeźby wykonane w brązie wraz z podpisami w języku rosyjskim. Na zachodniej stronie przedstawiono saluty zwycięstwa na Placu Czerwonym w Moskwie z podpisem „Chwała zwycięskiej Czerwonej Armii". Od strony południowej płaskorzeźba przedstawia czołg T-34 na tle Bramy Brandenburskiej w Berlinie i podpis „Chwała orężowi radzieckiemu". Po stronie wschodniej na płaskorzeźbie zaprezentowana jest scena frontowa, na której marynarz rzuca granatem, a ranny żołnierz podtrzymywany jest przez towarzysza, a pod nią napis: „Kwiaty i kłosy naszych pól my użyźniliśmy swą krwią". Wreszcie od północnej strony zobaczymy scenę w hali montażowej, gdzie

właśnie powstaje czołg oraz napis „My osiągnęliśmy zwycięstwo w trudzie i walce i dlatego dumni jesteśmy z niego”. Powyżej znajdziemy trzy płaskorzeźby przedstawiające herb Związku Radzieckiego i jedną płaskorzeźbę medalu za zwycięstwo z wizerunkiem Józefa Stalina. Szczyt kolumny zwieńczony jest wieńcem laurowym z brązu, nad którym umieszczono ponad półmetrowej wielkości Order Zwycięstwa.

Pomnik stał kilkadziesiąt lat nikomu nie przeszkadzając, aż wreszcie na początku lat dziewięćdziesiątych na fali radykalnego rozliczania się z historią jeden ze stargardzkich radnych, Janusz Petri, zaproponował zdjęcie gwiazdy z pomnika i zmianę jego nazwy na „Ofiar Komunizmu”. Rada Miasta zrobiła więcej – postanowiła, że pomnik zostanie usunięty. W 1994 sporządzono kosztorys tego przedsięwzięcia, ale do władzy doszła lewica i sprawa przycichła. Wróciła w 2001 roku za sprawą Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Kraju Federacji Światowej o/Stargard Szczeciński. Kombatanci nie zgadzali się na rozbiórkę argumentując, że to unikalny pomnik, który wtopił się w krajobraz miasta i nie wyobrażają sobie tego placu – ronda bez niego. Wpadli jednak na pewien pomysł: Stargard jako jeden z najstarszych grodów słowiańskich godzien jest takiego pomnika, jednak z orłem – symbolem polskości na szczycie. W 2003 roku Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa dość dobitnie wyraziła swoje zdanie na temat tego pomysłu: Przedstawione przez Federację Światową Stowarzyszenia Polskich Kombatantów Kraju uzasadnienie nie jest przekonujące. Sama chęć Stowarzyszenia zdjęcia z Pomnika symboli Związku Radzieckiego i zastąpienie ich godłem Polski nie jest argumentacją, na podstawie której Rada OPWiM mogłaby podjąć rozmowy z Ambasadą Federacji Rosyjskiej. Sam zamysł jest wg Rady nieprzemyślany i chybiony.

Następną po kombatantach organizacją zajmującą się porządkami w Stargardzie było Polskie Stowarzyszenie Patriotyczne „Kontra 2000”, które oprócz niezliczonej ilości pism do niezliczonej ilości urzędów, złożyło nawet doniesienie do prokuratury o propagowanie systemu rządów totalitarnych, poprzez pozostawianie na pomniku symboli Związku Radzieckiego i wizerunku Józefa Stalina. Prokuratura odmówiła wszczęcia postępowania argumentując, że rozstrzyganie spraw natury politycznej nie leży w jej kompetencjach. „Kontrę 2000” w działaniach wsparła Młodzież Wszechpolska, a niedawno także Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” Pomorze Zachodnie.

Podczas wymiany pism pojawił się problem, w czyich kompetencjach leży podjęcie ostatecznej decyzji w sprawie pomnika. Po 1 stycznia 1999 roku ulica, przy której mieści się rondo z pomnikiem, stała się drogą powiatową i ku uciesze władz miasta problem został przekazany starostwu. To jednak nie zamierzało nic z pomnikiem robić argumentując, że nie ma w tej sprawie uprawnień.

W 1994 roku Rząd Rzeczypospolitej wraz z Rządem Federacji Rosyjskiej podpisały umowę o grobach i miejscach pamięci ofiar wojen i represji. Zgodnie z umową oba rządy zobowiązały się do zapewnienia ochrony oraz utrzymania w należytym porządku wszystkich ujawnionych miejsc pamięci i spoczynku drugiej strony, znajdujących się na ich terytoriach. Tym samym wszelkie zmiany w wystroju pomnika, jego ewentualne przeniesienie lub rozbiórka powinny być uzgodnione ze stroną rosyjską. Organem upoważnionym do rozmów jest Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Do umowy dołączony został wykaz obiektów podlegających ochronie, w którym również wymieniony jest Pomnik Zwycięstwa, jednak sprawę komplikują dwie rzeczy. Po pierwsze zdjęcie na stronie 75 katalogu opisane jako obelisk na Placu Wolności w rzeczywistości pokazuje inny obiekt umieszczony na terenie Mauzoleum Żołnierzy Sowieckich. Ponadto wątpliwości budzi umieszczona w katalogu informacja, że pod pomnikiem pochowanych jest 2000 żołnierzy, co nie znajduje potwierdzenia w żadnych oficjalnych dokumentach.

Sprawą zainteresowały się media stargardzkie, a tuż po tym rozgorzała dyskusja wśród samych stargardzian, co zrobić z kłopotliwym pomnikiem. Na stronach internetowych przeprowadzono sondaże, które wykazały, że jest niemal identyczna liczba chętnych do pozostawienia pomnika, jak i do zburzenia go. Na forach internetowych znalazło się wiele radykalnych opinii. Przeciwnicy pomnika grzmieli: *To wstyd żeby do tej pory w naszym mieście nie znalazł się nikt odważny i nie usunął tego ludobójcy z pomnika*. Inna osoba pisała: *Uwłacza mi jako Polce znającej historię (...) wizerunek tyrana i mordercy na piedestale*. Niektórzy apelowali: *Usuńmy Stalina z pomnika, bo to wstyd – już nie jesteśmy ruską republiką*. Zwolennicy status quo argumentowali: *To właśnie Józef Stalin kazał zacierać ślady historii burząc pomniki*. Przypominano też historie innych obiektów: *Czy ktoś zwrócił uwagę, co się stało z pomnikami po byłej armii radzieckiej w dawnej NRD? Stoją ładnie wyczyszczone, gwiazdy pomalowane na czerwono. Niemcy wiedzą co to historia, a pomniki takie są atrakcją turystyczną*. Zwracano wreszcie uwagę na aspekt ekonomiczny: *Skąd na to wszystko brać pieniądze, ubóstwo mieszkańców aż razi w oczy, a to na pewno wyrzucanie pieniędzy*. Jeszcze inny głos w sprawach finansowych: *Potrzeba miejsc pracy, chleba, a nie rozwalania pomników, niech te pieniądze zostaną przeznaczone na stworzenie etatów i zatrudnienie ludzi*. Faktycznie, problem jest poważny, bo w zeszłym roku oszacowano koszt rozbiórki pomnika na minimum 100 tysięcy złotych.

Pomnik nadal stoi na Placu Wolności. Pod koniec października obchodzić będzie swoje 60-te urodziny. Jak na staruszka przystało jest w coraz gorszym stanie technicznym i niewątpliwie coś musi się zmienić. Pytanie tylko, która opcja przeważy – zniszczenie, przeniesienie, zmodyfikowanie czy też może odrestaurowanie? [ ]

Józef Michalski - jeniec nr 560

Z zapartym tchem przeczytałam artykuł autorstwa Pawła Szulca pt. „Państwo za drutami", umieszczony w lipcowo-sierpniowym numerze In Gremio. Mam ku temu kilka powodów.

Interesuję się historią II Wojny Światowej, a szczególnie informacjami dotyczącymi losów polskich oficerów, którzy po klęsce wrześniowej zostali jeńcami wojennymi. Zainteresowanie to podyktowane jest faktem, iż jestem córką oficera Józefa Michalskiego, który był jeńcem nr 560 Oflagu XI A, później Oflagu II D w Gross Born.

Wspomniana wyżej publikacja, mimo swojej obszerności, nie zawiera całej prawdy o życiu jeńców za drutami. Przeczytawszy wspomniany artykuł można odnieść wrażenie, że skoszarowani w Oflagu oficerowie, przez całą okupację przyjęli bierną postawę wobec wroga i jedynie zajęli się działalnością kulturalną i oświatową, tudzież nasłuchiwali wieści z kraju i świata przez skonstruowane przez siebie radia.

Zważywszy, iż oficerowie mogli dostawać paczki żywnościowe i byli pod opieką Polskiego Czerwonego, później Niemieckiego Czerwonego Krzyża, można dojść do błędnego przekonania, że czas okupacji przeżyli całkiem nieźle, w porównaniu do tych, którzy trafili do takich miejsc kaźni jak Auszwitz czy Dachau.

[Mirosława Tórz, radca prawny]

Oni naprawdę zasługują na szacunek i należne miejsce w historii II Wojny Światowej

Rzeczywistość nie była jednak tak „sielankowa". Nie należy zapominać, że byli to żołnierze, dla których klęska wrześniowa 1939 r. była nie tylko wstrząsem psychicznym z którym się nie pogodzili, lecz inspiracją do dalszej walki na miarę sytuacji, w której się znaleźli. Dlatego pominięcie w tej publikacji faktów świadczących o bohaterstwie polskich oficerów, należy potraktować jako poważną niedokładność historyczną.

Mam tu na myśli działalność konspiracyjną jeńców, którą to działalność prowadzono niemalże od początku ich uwięzienia w pierwszym obozie Arnswalde (Choszczno). U źródeł konspiracji obozowej leżała walka o wolność nie tylko własną, lecz także narodu.

Istniały dwa nurty konspiracji – zorganizowany, kierowany przez ludzi powiązanych z ośrodkami walki w kraju i na emigracji doraźny, spontaniczny, rodzący się pod wpływem nadarzającej się okazji. Konspiratorzy nawiązywali kontakty z Polakami pozostałymi w kraju, jak również wywożonymi na przymusowe roboty do Niemiec oraz z przedstawicielami innych narodów walczących z hitlerowskim najeźdźcą.

Łącznikami między grupami konspiracyjnymi w obozie, a robotnikami polskimi lub cudzoziemskimi oraz Niemcami - przeciwnikami Hitlera, byli podchorążowie, podoficerowie i strzelcy, którzy mieszkając w oflagu wychodzili za druty do pracy. Oni przemycali informacje z obozu i do obozu oraz potrzebne w oflagu materiały i narzędzia, między innymi do skonstruowania radia. Dzięki tym odważnym żołnierzom, jeńcy wiedzieli co się dzieje w kraju i nie tylko.

Inną z form działalności konspiracyjnej w oflagu były ucieczki. Pierwszą ucieczkę zorganizowano już w styczniu 1940r. Dwaj młodzi oficerowie, w nocy, podczas zamieci śnieżnej, okryci białymi prześcieradłami, sforsowali druty w „martwym polu" (tj. w miejscu niewidocznym z wież strażniczych), rzucając na nie, wyciągniętą z łóżka, deskę i zniknęli w ciemnościach. Śnieg zatarł ślady, ale zahaczona na kolcach drutów zakrwawiona rękawiczka zdradziła bohaterskich śmiałków. Złapano ich w mieście, zbito i odstawiono do obozu. Później zostali przeniesieni do innego oflagu, skąd zbiegli, tym razem z dobrym skutkiem. W 1941 r. uciekli: ppor. Dąbrowski, ppor. Leszczyński i ppor. Kosek. Dotarli do kraju, przywożąc ze sobą szyfr potrzebny do utrzymania łączności z oflagiem.

Inna udana ucieczka odbyła się 13 maja 1940 r. kiedy to kanałem od centralnego ogrzewania uciekło 21 oficerów.[1] Zdarzały się także niepowodzenia, takie jak to, gdy u wylotu podkopu, czyli u progu „wolności", Niemcy zastrzelili jeńca narodowości francuskiej w Oflagu II D. Fakt ten upamiętnia wzniesiony na miejscu tragedii marmurowy monument.

Opisane fakty świadczą o niezłomnej postawie patriotycznej polskich oficerów. Polscy jeńcy stanęli na wysokości zadania dziejowego, okazali moc ducha i potwierdzili słowa Stanisława Staszica: *„Upaść może naród wielki, zginąć tylko nikczemny"*. Oni nie byli nikczemni, bo padając przezwyciężyli własne słabości i myśleli o tym, jak powstać.

O swoich przeżyciach z tamtych ponurych lat opowiadał mi mój ojciec, gdy byłam małą dziewczynką. Niestety zmarł kiedy miałam 9 lat i nie byłam w stanie zapamiętać wszystkich szczegółów, stąd posłużyłam się relacjami innego jeńca Józefa Bohatkiewicza zawartymi w niewielkiej publikacji pod tytułem „ Oflag II B Arnswalde".

Oflag II D Gross Born, do którego zostali przeniesieni oficerowie polscy w 1942 r., położony był kilka kilometrów od Bornego Sulinowa na trasie pomiędzy Nadarzycami a leśniczówką Kłomio.

Miejsce to upamiętnia wspomniany monument, jak również znak informujący o miejscu pamięci o treści „Polski obóz jeniecki", przy czym słowo „Polski" zostało przez nieznanego sprawcę zamalowane. Czy słusznie? Wydaje się, że tak, gdyż to nie Polacy więzili jeńców, lecz polscy oficerowie tam byli więzieni. Niezręczność językowa, czy prowokacja mająca na celu zakłamanie historii?

Oni naprawdę zasługują na szacunek i należne im miejsce w historii II Wojny Światowej. [ ]

1 Oflag II B Arnswalde - Józef Bohatkiewicz
Wydawnictwo Książka i Wiedza W-wa 1985 r.

Mandat wolny czy związany?

[Dr Marek Tkaczuk]
Katedra Historii Prawa, Wydział Prawa i Administracji US

„Posłowie są przedstawicielami Narodu. Nie wiążą ich instrukcje wyborców”.

Przytoczony przepis (nie zapis!) Konstytucji Rzeczypospolitej z kwietnia 1997 roku utrzymał w systemie wyborczym państwa polskiego instytucję mandatu wolnego.

Idea reprezentacji politycznej w różny sposób pojmowanego Narodu, mającego wpływ na funkcjonowanie państwa, ukształtowała się w Polsce w drugiej połowie XV wieku. Od 1493 roku funkcjonował w Polsce dwuizbowy Sejm Walny, w którym reprezentacja stanu szlacheckiego miała dominującą pozycję. Stan duchowny reprezentowała w Senacie hierarchia Kościoła rzymskokatolickiego, zaś w izbie poselskiej reprezentacja mieszczańska była mocno ograniczona. Miasta mające przywilej posiadania praw szlacheckich: Kraków, Wilno, Lwów, Lublin i Kamieniec Podolski mogły wysyłać na sejm swoich przedstawicieli tzw. ablegatów, którzy w sprawach dotyczących miast brali udział w obradach z głosem doradczym. Posłowie szlacheccy i ablegaci miejscy byli reprezentantami swoich wyborców i krępowały ich w mniejszym lub większym stopniu instrukcje wyborcze. Z tego powodu mandat członków izby poselskiej Sejmu Walnego można określić jako tzw. mandat związany, choć nie miał on charakteru imperatywnego, gdyż głos oddany wbrew instrukcji był ważny a przedstawiciele z tego powodu nie ponosili żadnych konsekwencji prawnych. Często jednak było to ich ostatnie posłowanie.

Reformy Sejmu Wielkiego realizowały postulaty Oświecenia w zakresie tworzenia ciał przedstawicielskich będących reprezentacją całego Narodu. Konstytucja 3 – maja z 1791 roku uznawała izbę poselską sejmu za „świątynię prawodawstwa, będącą wyobrażeniem i składem wszechwładztwa narodowego”. Posłowie szlacheccy i plenipotenci miast uważani byli za reprezentantów całego narodu, „skład ufności powszechnej”. Zniesiono także instrukcje poselskie, konstruując w ten sposób instytucję mandatu wolnego.

Istota wolnego mandatu parlamentarnego w swej idei zasadza się na nieskrępowanej żadnymi formalnymi związkami z wyborcami, ciałami pośredniczącymi takimi jak partie polityczne lub organami władzy państwowej, działalności publicznej prowadzonej w granicach wyznaczonych przez prawa i obowiązki poselskie. Przedstawiciel Narodu ma prawo m.in. brać udział w procesie stanowienia prawa, wyrażać swoje stanowisko we wszystkich sprawach będących przedmiotem obrad ciała przedstawicielskiego, wnosić interpelacje i zapytania poselskie. Jego podstawowym obowiązkiem jest kierowanie się przy wykonywaniu mandatu dobrem Narodu. Jednym z istotniejszych warunków zapewniających wolność mandatu przedstawicielskiego jest nietykalność reprezentanta, wynikająca z przyznanego mu immunitetu. Znany dziś immunitet poselski występujący w postaci immunitetu materialnego i formalnego pojawił się po raz pierwszy w konstytucji francuskiej z dnia 3 września 1791 roku. Polska Konstytucja 3 – maja nie zawierała żadnych przepisów dotyczących immunitetu poselskiego, bowiem w Rzeczpospolitej każdy obywatel stanu szlacheckiego, a od reform Sejmu Wielkiego każdy osiadły mieszczanin miał immunitet zapewniający mu nietykalność osobistą. Prawo kardynalne *neminem captivabimus, nisi iure victum* uniemożliwiało jakiegokolwiek pozbawienia wolności jednostki bez wyroku właściwego sądu.

W II Rzeczypospolitej konstytucja marcowa w sposób wyraźny ustanawiała posłów i senatorów przedstawicielami całego Narodu, którzy nie mogli być krępowani żadnymi instrukcjami wyborców. Zapewniała im też pełny immunitet parlamentarny. Wzrost tendencji autorytarnych miał wyraźny wpływ na ustrój państwa polskiego określony konstytucją kwietniową. Sejm i Senat nie były już ciałami przedstawicielskimi lecz organami państwa pozostającymi pod zwierzchnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej. Posłowie i senatorowie byli wybierani przez obywateli, lecz konstytucja nie traktowała ich jako reprezentantów Narodu. Podstawowym obowiązkiem posła i senatora była wierność wobec państwa polskiego. Nietykalność członków sejmu i senatu była bardzo mocno ograniczona. Na żądanie sejmu, marszałka sejmu lub ministra sprawiedliwości każdy poseł za sprzeniewierzenie się wierności państwu mógł być oddany pod sąd Trybunału Stanu. Działalność nie związana z uczestnictwem w pracach sejmu lub senatu w ogóle nie była chroniona immunitetem.

W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej konstytucja z 1952 roku także nie wprowadzała mandatu wolnego, gdyż posłowie na sejm byli odpowiedzialni przed swoimi wyborcami i mogli być przez nich odwołani. Mandat wolny przywróciła w ustroju państwa tzw. Mała Konstytucja z 1992 roku.

W toczącej się obecnie kampanii wyborczej pojawiają się wątki wskazujące na to, że idea mandatu wolnego nie zakorzeniła się dostatecznie głęboko w świadomości obywatelskiej. Próby ograniczenia przeszłych parlamentarzystów mniej lub bardziej formalnymi związkami z wyborcami lub desygnującymi ich ugrupowaniami politycznymi, czy to w postaci zobowiązań wekslowych, czy też przysięgi na Boga budzą niepokój, że ich działalność będzie raczej prowadzona - jak stwierdziła Pani Profesor Zofia Kulejewska komentując wcześniejszą działalność posłów na sejm - „*pro domo sua czyli pro partia sua*, a nie *pro publico bono*, a raczej *Reipublicae bono*”. [ ]

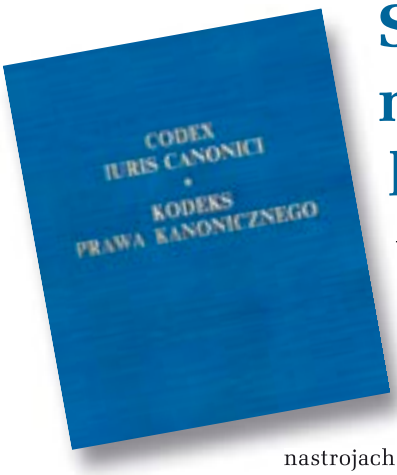

Sprawy o orzeczenie nieważności małżeństwa w procedurze prawa kanonicznego (cz. I)

[Ks. dr Janusz Posadzy]

Przed kilkoma laty do siedziby Sądu Metropolitalnego w Szczecinie przyszła grupa ludzi, która w dość wojowniczych nastrojach manifestowała swoje niezadowolenie, iż jeden z członków tej grupy otrzymał wezwanie do Sądu, aby złożyć zeznania w sprawie o orzeczenie nieważności swojego małżeństwa. „Bo jak to jest: Co Bóg złączył, tego człowiek niech nie rozdziela" - wykrzykiwali na korytarzu. „Dlaczego wzywa się kogokolwiek, aby roztrząsać sprawy osobiste małżonków" - pokrzykiwał pozwany. Dopiero spokojna rozmowa, a przede wszystkim wyciszenie „gorącej" atmosfery, sprawiło to, że zainteresowany wysłuchał informacji na temat procesu o orzeczenie nieważności w procedurze prawa kanonicznego i poszczególnych etapów prowadzenia takiego procesu. Największym zaskoczeniem dla tego człowieka było stwierdzenie, iż sądy kościelne nie unieważniają ważnie zawartych małżeństw i nie wydają orzeczeń rozwodowych, lecz tylko – po przeprowadzeniu specjalnego postępowania zgodnie z przepisami prawa – dają autorytatywną odpowiedź na wysuniętą wątpliwość: Czy dane małżeństwo zostało zawarte nieważnie z konkretnego tytułu prawnego?

Udzielenie odpowiedzi na to pytanie nie zależy od „widzimisie" konkretnego sędziego kościelnego, ale od kolegialnej decyzji sędziów biorących udział w takim procesie, w oparciu o bardzo precyzyjną procedurę kanoniczną - stosowaną w rozpatrywaniu takich spraw. Odpowiedź pozytywna na wyżej zadane pytanie, zawarta musi być w prawomocnym wyroku (pozytywny wyrok I instancji, musi zostać rozpatrzony przez Trybunał Metropolitalny- II instancji), upoważnia strony - jako nie związane węzłem małżeńskim i w rozumieniu prawa kanonicznego jako osoby wolne od przeszkody węzła małżeńskiego do zawarcia związku małżeńskiego z inną osobą.

Rozwój kanonicznego procesu małżeńskiego

Przez wiele stuleci nieważność małżeństwa rozpatrywano według ogólnych zasad procesowych. Sprawy małżeńskie były przedmiotem uchwał najstarszych synodów. Synody te broniły naturalnych i nadprzyrodzonych wartości związku małżeńskiego. Kwestie małżeńskie normowali starożytni papieże. Papież Hormizdas (514-523) rozporządził, aby nikt spośród wiernych nie zawierał małżeństwa potajemnie, lecz zawsze powinien to być akt publiczny połączony z błogosławieństwem kapłana.

Pewne odrębności proceduralne w prowadzeniu procesu o orzeczenie nieważności można zauważyć dopiero w XII wieku. W Kompilacji I Bernarda z Pawii materiał prawny został podzielony na pięć ksiąg, według haseł: *iudex, indicium, clerus, connubia, crimen*. A więc IV księga zbioru została poświęcona prawu małżeńskiemu. Podobny układ materiału prawnego zastosowano w Dekretałach papieża Grzegorza IX. Przepisy procesowe dotyczące spraw małżeńskich zostały zreformowane w dużym stopniu na Soborze Trydenckim. Sobór ten bowiem postanowił, że sprawy małżeńskie mają być rozpatrywane w pierwszej instancji przez trybunał biskupa diecezjalnego. Na Soborze w Trydencie postanowiono także, że biskupi mają obowiązek ustanowienia w diecezji sędziów synodalnych oraz przepisał dwuletni okres na załatwienie spraw w trybunale pierwszej instancji.

Wiele uwagi kwestiom małżeńskim w swoich dokumentach poświęcił papież Benedykt XIV. Jego zalecenia zawarte w encyklice *Quamvis paternae* z 26 sierpnia 1741 roku miały na celu podniesienie na wyższy poziom diecezjalnego sądownictwa kościelnego głównie w zakresie spraw małżeńskich. Benedykt XIV w innych swoich dokumentach nawoływał, aby nie wydawano zbyt łatwo wyroków orzekających nieważność małżeństwa. Wprowadził także wiele sankcji karnych w związku z lekceważeniem przepisów prawa małżeńskiego.

Doniosłe znaczenie dla sądownictwa kościelnego miał Kodeks Prawa Kanonicznego z 1917 roku, w którym sprawom małżeńskim poświęcono osobny tytuł. Jednakże w procesie małżeńskim, obok przepisów specjalnych, obowiązywały zasady zwyczajnego procesu spornego.

Podczas obrad Soboru Watykańskiego (1963-1965) zwrócono uwagę na konieczność uproszczenia i przyśpieszenia postępowania sądowego. Papież Paweł VI, 1 października 1971 roku wydał dokument *Causas matimoniales*, w którym wskazano, iż postępowanie w sprawach małżeńskich zastało uproszczone, a tym samym stworzono warunki do sprawniejszego rozpoznawania spraw. Posoborową reformę procesu małżeńskiego dokończył Jan Paweł II w swoim Kodeksie Prawa Kanonicznego.

Kto może zaskarżyć ważność swojego małżeństwa?

Odpowiedź na pytanie zawarte w podtytule może brzmieć bardzo prosto: Każdy, kto zawarł sakramentalny związek małżeński może złożyć skargę powodową, poddając w wątpliwość ważność swojego małżeństwa. Jest w tym stwierdzeniu jednak bardzo wielkie uproszczenie. Małżeństwo bowiem cieszy się szczególną przychylnością prawa. Oznacza to przede wszystkim, że skoro zostanie ono zawarte tylko zewnętrznie, należy je uważać za ważne, dopóki nie udowodni się, że jest ono nieważnie. Zasadę tę jasno precyzuje kan. 1060 Kodeksu Prawa Kanonicznego: „Małżeństwo cieszy się przychylnością prawa, dlatego w wątpliwości należy uważać je za ważne, dopóki nie udowodni się czegoś przeciwnego." Aby rozpocząć proces kanoniczny, który będzie miał na celu przebadanie: Czy dane małżeństwo zostało zawarte ważnie bądź nie, musi zachodzić tytuł prawny, przewidziany w prawie kanonicznym.

Tytuły kanoniczne, które mogą powodować nieważność zawartego małżeństwa są bardzo jasno sprecyzowane i nie można dowolnie dołączać jakichkolwiek innych modyfikacji czy interpretacji. Bardzo często skargę powodową piszą ludzie w przekonaniu, że po pięciu czy dziesięciu latach względnie szczęśliwego pożycia małżeńskiego nastąpił jego rozkład, i w tym fakcie upatrują wystarczający argument, aby rozpocząć proces kanoniczny, mający na celu orzeczenie nieważności małżeństwa. Niestety nie jest to wystarczający powód do rozpoczęcia procesu. W rozmowach z małżonkami, którym nie powiodło się życie małżeńskie - zostali oszukani bądź przekonali się, że druga połowa w ich związku nie stanęła na wysokości zadania, aby spełnić słowa przysięgi – przewija się nuta żalu do Kościoła, dlaczego tak jest, że nie mogą powtórnie zawrzeć związku małżeńskiego? Zapominając przy tym, że u podstaw spraw o nieważność małżeństwa leży pozytywne prawo Boże: „Co Bóg złączył, nich człowiek nie rozdziela." (Mt 19.6) I żadna władza, nawet kościelna nie może zmienić tego Prawa. Małżeństwo raz zawarte ważnie ma swoje konsekwencje, aż do śmierci jednej ze stron.

Tytuły prawne w procesie orzeczenia nieważności małżeństwa

Jak już zostało wspomniane, aby móc rozpocząć proces kanoniczny, musi zachodzić tytuł prawny, który stanowi podstawę procedury. Wszystkie tytuły prawne można podzielić zasadniczo na trzy grupy. Pierwsza grupa to istnienie w chwili zawierania związku małżeńskiego kanonicznej przeszkody rozrywającej, od której nie została udzielona dyspensa (kan. 1073 –1094). Druga obejmuje brak lub wadliwe wyrażenie zgody małżeńskiej (kan. 1095-1107). I ostatnia dotyczy niezachowania kanonicznej formy zawarcia małżeństwa (kan. 1108- 1123). [c.d.n.]

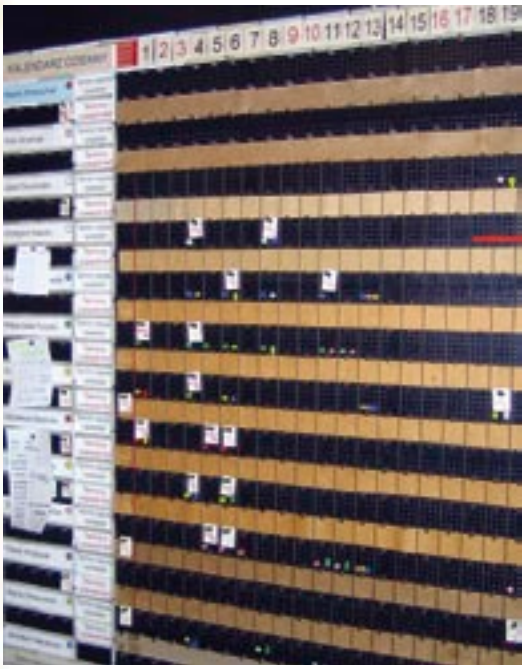

Tablica informacyjno – terminowa w III Wydziale Karnym Sądu Okręgowego w Szczecinie

W okresie końca lat sześćdziesiątych i pierwszej połowy lat siedemdziesiątych wpływ spraw do sądu gryfickiego, podobnie jak do innych sądów okręgu, wykazywał systematyczny wzrost. Tendencji wzrostowej towarzyszy różnorodność, wpływają sprawy o tzw. „dużym ciężarze gatunkowym", których szybkie rozpoznanie nastręcza różnorakie problemy. Opanowanie wpływu i niedopuszczenie do powstania zaległości wymagało zatem od sędziów, a także urzędników, nie tylko ciągłego uzupełniania wiedzy, ale zdwojonego wysiłku i ofiarności (np. pracy poza godzinami urzędowania). Z satysfakcją podkreślam, że zespół pracowników sądu gryfickiego wykazywał wówczas te niezbędne cechy, a w opinii Sądu Wojewódzkiego w Szczecinie, Sąd Powiatowy w Gryficach oceniany był najwyżej. Skromna etatowo liczba urzędników (8) legitymowała się wysoką średnią wykształcenia. Wandzia Bełkowska i Lodzia Zinkiewicz już w czasie pracy uzyskały tytuły mgr prawa na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, a Bogumiła Drzewińska legitymowała się wyższym wykształceniem pedagogicznym. Leokadia Zinkiewicz–Jarosińska do dziś jest wziętym notariuszem i z dużym powodzeniem wychowuje swoich następców. Troje dalszych urzędników (łącznie ze mną) posiadało wykształcenie średnie. Należy podkreślić, że p. Ziuta Salmonowicz i Bolek Zaręba maturzystami zostali przed 1939 r. i co najistotniejsze, legitymowali się dłuższym stażem urzędniczym w sądach przedwojennych. Dwóch pozostałych urzędników posiadało wykształcenie niższe niż średnie.

Nowe metody pracy – sąd wzorcowy

[Remigiusz Hyży]

Urzędników cechowała duża samodyscyplina i wzajemna życzliwość oraz solidarność, co przekładało się na bardzo dobre efekty pracy. Opinia przełożonych o poziomie pracy i możliwościach gryfickiego sądu nie była przesadzona. W konsekwencji stał się on przedmiotem szczególnego zainteresowania ówczesnego Prezesa Sądu Wojewódzkiego Juliusza Rutkowskiego. Prezes Rutkowski, jak się okazało, był prekursorem wprowadzania do sądownictwa nowych metod organizacji i techniki pracy. W swoich planach widział sąd gryficki jako ten, który może skutecznie sprawdzić przydatność nowych rozwiązań. Skąd wzięła się idea tego eksperymentu? W tym czasie okręg szczeciński utrzymywał ożywione kontakty (do których doszło głównie z przyczyn politycznych) z okręgiem sądowym Rostock (NRD), wymieniając doświadczenia w zakresie orzecznictwa jak i organizacji i techniki pracy sekretariatów sądowych. W czasie wizyty w NRD prezesowi Rutkowskiemu zaimponowała technika pracy sekretariatu sądu wzorcowego w Senftenbergu i postanowił przenieść te metody na grunt sądów okręgu szczecińskiego. Zarządzeniem Prezesa S.W. już od 1 lipca 1971 r. Sąd Powiatowy w Gryficach (a także Sąd Powiatowy w Goleniowie), obok biurowości prowadzonej według instrukcji sądowej – wdrażał system biurowości sądu w Senftenberg. W dużym skrócie o tym, czym charakteryzował się ten system. Nowość stanowiły przede wszystkim dwa elementy:

- ewidencję przebiegu postępowania w repertoriach zastąpiono zbiorem kart perforowanych z tworzywa (sztywne), wielkości połowy papieru kancelaryjnego. Na obu stronach karty, w części środkowej dokonywano zapisów – podobnie jak w repertorium, natomiast obrzeża prostokąta karty zadrukowano symbolami (litery, cyfry), służącymi do szybkiego uzyskiwania danych statystycznych za pomocą tzw. wybieraków i wytrząsacza;
- drugi element, to tablice informacyjno – terminowe. Do tych urządzeń technicznych dopasowano odpowiednio organizację pracy sekretariatu. W ramach niniejszego cyklu wspomnień nie jest możliwe bardziej szczegółowe przedstawienie funkcjonowania tego systemu (opracowana przeze mnie na polecenie prezesa Rutkowskiego instrukcja zawierała około 40 stron maszynopisu).

Cząstka tego systemu, jako jedyny chyba w Polsce relikt tamtego okresu w postaci tablicy informacyjno – terminowej, z uwagi na praktyczną przydatność, funkcjonuje nadal w III Wydziale Karnym Sądu Okręgowego w Szczecinie mimo, iż instrukcja sądowa o biurowości już od dawna tego nie wymaga. Korzysta się z niej blisko 30 lat. Prezes Rutkowski składał częste wizyty w sądzie gryfickim, interesując się postępami w przyswajaniu nowości i ich wpływie na wyniki pracy. Mnie wówczas powierzono kierowanie sekcją tzw. „komórki informacyjnej" (obok funkcji Kierownika Sekretariatu Cywilnego). Prezes Rutkowski sygnalizował, że w niedługim czasie ma zamiar przenieść mnie do Sądu Wojewódzkiego.

O nowych metodach i ocenie przydatności wprowadzanego eksperymentu będzie jeszcze mowa przy okazji wspomnień obejmujących już moją pracę w Sądzie Wojewódzkim.

Dwa lata wstecz, tj. 31 maja 1969 r. miało miejsce pożegnanie p. Ziuty Salmonowicz. Żałuję bardzo, że długotrwała choroba, która wyłączyła mnie z pracy w okresie od 9 kwietnia do 30 sierpnia 1969 r. nie pozwoliła mi wziąć udziału w uroczystym pożegnaniu mej nauczycielki. Fakt Jej przejścia na emeryturę już wówczas był zresztą dla mnie zaskoczeniem. Pani Ziuta liczyła wtedy 55 lat i wprawdzie formalnie osiągnęła wiek emerytalny, ale z moich (i nie tylko) obserwacji wynikało, że cieszyła się jeszcze dobrym zdrowiem i mogła dłużej służyć wymiarowi sprawiedliwości. W każdym bądź razie wypowiedzenie stosunku służbowego było w tym przypadku jednostronną decyzją pracodawcy.

Z dniem 8 czerwca 1972 r., zgodnie z wcześniejszym zamysłem Prezesa J. Rutkowskiego, zostałem delegowany do Sądu Wojewódzkiego w Szczecinie, który to dokument stał się praktycznie aktem przeniesienia na stałe.

Po ponad 20 latach zamknął się bardzo ważny dla mnie pierwszy etap pracy w Sądzie Powiatowym w Gryficach. [ ]

Warszawa, dnia 26 lutego 1969 r.

Okręgowa Rada Sędziowska
Kierownik Sekretariatu
Sądu Powiatowego
w Gryficach

Szczecin, dnia 28 lutego 1969 r.

- do wiadomości i wykonania.

Raz na sportowo

O tym spotkaniu mówiło się i pisało już od dawna. Miało być szlagierem sezonu. Najlepsi sędziowie ubiegali się o jego prowadzenie, dopiero losowanie pozwoliło wytypować właściwego. Wejściówki rozeszły się jak ciepłe bułeczki. Zgromadzono znaczne siły do ochrony. Wszystkich wchodzących dokładnie sprawdzano. Drużyna przyjezdna została niemal w całości dowieziona prosto ze zgrupowania kadry (w skrócie ZK), gdzie, jak niosła plotka, z największym natężeniem ćwiczono wyjście na wolne pole, przerzut i forsowanie muru. Do końca w tajemnicy trzymano skład. Mówiło się, że będzie więcej napastników niż pomocników, ale niektórzy twierdzili, że będzie odwrotnie. Szczególnie, że bramkarz też okazał się napastnikiem. Spotkanie rozpoczęło się dość nietypowo. Otóż obrońcy kategorycznie twierdzili, że o terminie zostali zawiadomieni zbyt późno, a bez rozgrzewki nie zaczną... Następnie gdzieś się zapodział jeden boczny sędzia. Znaleziono go na innym spotkaniu, na którym zastępował kolegę. Po pierwszym gwizdku jeden z napastników rozpoczął szaleńczą szarżę i byłby dopiął swego, gdyby nie ostry wślizg obrońcy, który w ostatniej chwili zatrzymał go tłumacząc jednocześnie, że atakuje własną bramkę. Samobója cudem uniknięto! To zniechęciło pozostałych i tylko jeden pomocnik, który nie brał udziału w zgrupowaniu przedmeczowym, był nad wyraz aktywny. Biegał bez ładu i składu, a raz nawet cofnięto go, gdy był już blisko szatni. To wzbudziło podejrzenie arbitra, który przerwał mecz i zarządził badanie antydopingowe. Okazało się, że delikwent miał we krwi znaczne stężenie środków, co prawda ogólnie dostępnych, ale niedozwolonych. Został wyrzucony z boiska z nakazem udania się do gabinetu odnowy biologicznej z zaleceniem kuracji biczami wodnymi, a następnie odwiezienia do zamkniętego ośrodka Zgrupowania Kadry. Było jasne, że ciężar gry spocznie na obrońcach. Czas przyjrzeć się im bliżej. Na lewej stronie wystąpił taki, co do niedawna jeszcze reprezentował barwy przeciwnika. Odszedł na skutek konfliktu z Prezesem, skuszony obietnicą lepszych zarobków. Ten wyraźnie chciał się pokazać i zdobyć trwałe miejsce w pierwszym zespole. Efektownie żonglował pod publikę i dryblował tak zapamiętale, że w pewnym momencie, gdy chciał kiwnąć nawet sędziego, widoczny stał się brak doświadczenia i ogrania. Na drugim boku grał młody, ale utalentowany ofensor, znany już ze znakomitych zagrań fałszem i gry ciałem. Ten dobrze główkował. Na środku dwóch – jeden klasyczny wymiatacz znany z żelaznego wdrażania założeń taktycznych, drugi – libero, przydatny zarówno w obronie, jak i w ofensywie. On też prowadził „bank informacji". Słynne były jego rogale, potrafił tak zakręcić, że beznadziejne na pierwszy rzut oka zagranie, szczególnie w końcówkach, okazywało się decydujące dla całego spotkania. Znany był także ze znakomitych wrzutek na tzw. „aferę", po których najczęściej nie było go widać przez jakiś czas. Szybko okazało się, jaką taktykę przyjęto: murować własne przedpole i czekać na dogodny moment do kontrataku. Gra na czas była więc naturalną tego konsekwencją. Częste wybicia na aut, symulowanie kontuzji, prowokowanie przeciwników, faule taktyczne, to arsenał podstawowych środków. Do tego umiejętne wymuszanie niedokładnych zagrań otwierających drogę do szybkiej kontry. Ale trzeba przyznać, że nie było łatwo. Napastnicy byli krótko kryci, na całym boisku nieustanny pressing. Ledwie próbowali wyjść na wolne pole, a już pojawiało się dwóch przy każdym z nich. Dodatkowo musieli uważać, bo każdy miał jeszcze z poprzednich spotkań po dwie żółte kartki za groźne ataki z tyłu i obrazę sędziego. Próba przerzutu przez pomocników spaliła na panewce, bo już pierwszy z nich trafił wprost do sędziego. Przy próbie oswobodzenia jeden z napadu tak skiksował, że przydepnął sobie język i został zniesiony do szatni. Ale i tak wcześniej był już spalony. Gra była brutalna i mało widowiskowa. Sędzia często interweniował. Jemu też nie było łatwo, bo po bokach miał pół-amatorów, cały ciężar decyzji spoczywał więc na nim. Po jednym zagraniu podyktował wolnego, który doprowadził do sztuczki technicznej w celu ominięcia muru i wyjścia na czystą pozycję – skończyło się na rosłym kapitanie rywali. Czas upływał. Po kolejnym wybiciu na uwolnienie jeden z obrońców zasygnalizował zmianę. Sędzia nie przerwał jednak gry, podejrzewając, iż jest to kolejna zagrywka na czas. Zrobiło się nerwowo, pozostali obrońcy chcieli zejść z boiska na znak protestu. Sędzia wzywał do gry fair i groził, że wystąpi o cofnięcie im licencji. Usłyszał, że obrońcom nikt nie płaci za grę efektowną, ale efektywną. Doszło do przepychanek, które próbował wykorzystać napastnik wchodząc w uliczkę po kombinacji z pomocnikiem – w ostatniej chwili, gdy był już blisko bramki, został wzięty w kleszcze. Z ławki dało się słyszeć głosy, że mecz był ustawiony, ktoś widział kapitana przeciwników rozmawiającego przed spotkaniem z sędzią głównym, ponoć ustalali wynik. Zachęceni takim obrotem sprawy napastnicy i pomocnicy zaczęli krzyczeć, że ich oszukano, że oni , owszem, grają, ale w bejsbola, a to zupełnie inna gra. Tego było za wiele. Sędzia po naradzie z bocznymi odsunął ich od wszelkich rozgrywek na okres 8 sezonów. Sprawę obrońców skierował do sądu koleżeńskiego i odgwizdał koniec.

A my wiemy swoje – gra się tak, jak przeciwnik pozwala. [Para–Graf]

Uwaga!

Miesięcznik szczecińskich środowisk, wiadomo jakich, więc nie będę przypominał, nikomu za nic nie płaci. Tak? To niby logicznie jemu (temu miesięcznikowi) też nie płacą. To dlaczego ja zapłaciłem honorarium za prawa autorskie do bycia „zielonym", „niebieskim", „fioletowym", „czerwonym" nic o tym nie wiedząc? Czy tylko dlatego, że żyję kolorowo?* Ktoś mnie wystawił. Za tym musiała się kryć płatna protekcja. Ale jeżeli już tak się stało, to ostrzegam, jeśli ktoś zostanie zielony, czerwony, niebieski albo fioletowy bez mojej zgody – pozwę! Nawet nie próbujcie. Dlatego z dobroci serca radzę – bądźcie jak tęcza. Czy ktoś widział tęczę w jednym kolorze? A czy ktoś nie lubi tęczy? Więc nie ryzykujcie jednokolorowości. Ze mną nie wygracie w żadnym sądzie. Też z dobroci (macie szczęście – mam dobry nastrój) przypominam – nikt nie wie, czy tęcza lubi się sama, ale tych, którzy poświadczą, że oni lubią tęczę, przesłuchujcie bez przyrzeczenia. A później niech zapadnie sprawiedliwy wyrok. Według mojej wiedzy takie postępowanie może potrwać jednak nawet 2000 lat i nie będzie żadną opieszałością. Sprawa nie jest gospodarcza. [Para–Graf]

Ps. Panu, który w poprzednim numerze napisał: „...zamykam arbitralnie..." przypominam – wiemy, Panie Sędzio. Nie wszystkich jednak da się zamknąć. Honorarium zapłacone, prawa są moje. Zapraszam.

** (patrz: In Gremio 7/8/2005 str. 11)*

STOMATOLOGIA
NA PODZAMCZU

Twój uśmiech...

...nasz cel!

TEL. 812 88 88

UL. WIELKA ODRZAŃSKA 31B, SZCZECIN

www.stomatologia.szczecin.pl
e-mail: kontakt@denta.pl

KANCELARIA PRAWNA

oprogramowanie wspierające zarządzanie

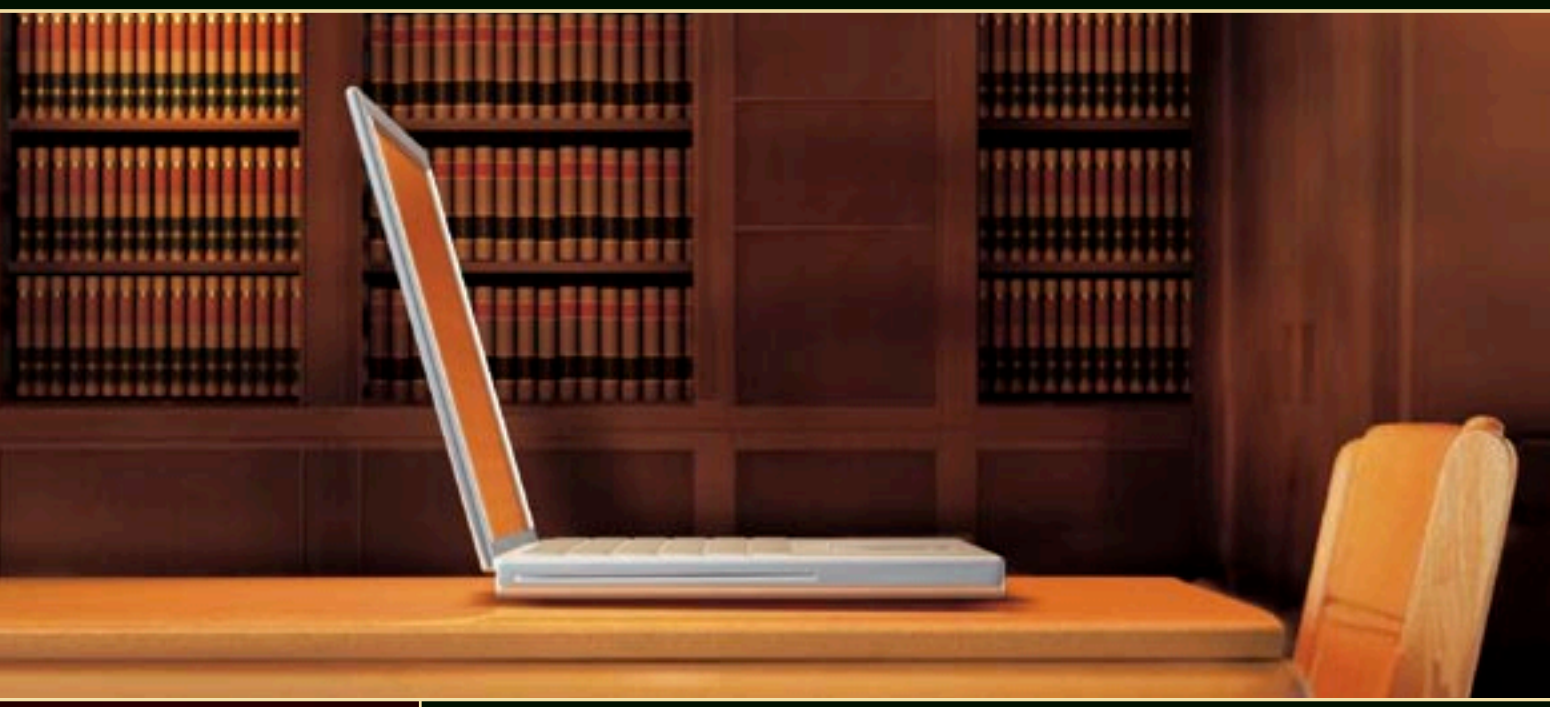

CAŁA KANCELARIA NA TWOIM DYSKU

- *zarządzanie czasem pracy,*
- *zarządzanie dokumentami,*
- *ewidencja spraw i kontaktów,*
- *analiza opłacalności współpracy z Klientami,*

to tylko niektóre z funkcji naszego programu, które pozwolą efektywnie i nowocześnie zarządzać kancelarią prawną.

LEX

WWW.LEX.PL
INFOLINIA 0 800 120 382

WYDAWNICTWO PRAWNICZE LEX oddział Polskich Wydawnictw Profesjonalnych Sp. z o.o., 81-855 Sopot, ul. Rzemieślnicza 7, tel. (0-58) 76 76 000, fax 76 76 202, e-mail: poczta@lex.pl